STRONA CZYTELNIKA

numer 5/2021

STRONA CZYTANA

Redakcja:

Piotr Borkowicz,

Kamil Galus,

Iwo Sadecki,

Patrycja Sikora,

Patryk Zimny

Korekta: Sara Gosk, zespół redakcyjny

Oprawa graficzna: Julia Boros

Logo: Jakub Pszoniak

SPIS TREŚCI

POEZJA **4**

Bąk. 5

Czerwiński 8

Frankowska 12

Gutkowski 15

Góra 18

Wolny-Hamkało 22

Háblová & Bałdyga 25

Humeniuk 28

Janicki 32

Manel 34

Mitek 36

Mytnik 40

Nádaskay 44

Suchanecki 48

Grzegorz Uzdański 51

PROZA **55**

Bobula 56

Kaczanowski 62

Skiba 65

KRYTYKA **78**

Kurando 79

Rembielińska 83

Skurtys 87

ROZMOWY NA STRONIE **94**

TU, WŁAŚNIE TU, ZDEFINITUJ TYTUŁ, Rozmowa Patryka Zimnego z Marcinem Podlaskim 96

STRONA WOLNA **101**

Burzyński 102

Jarek & Sosna 105

Kapusta 122

Perzyńska 125

WSTĘP

Aplikacja ZOZO.bat przestała działać. Czy na pewno chcesz trwale usunąć ten plik i uruchomić ZOZI.exe? Sekwencja bajtów rozchodzi się w tle niezależnie od nas i wczytuje zimną wodę w poparzone miejsca. Z czerwonych owoców, z grzybami do smaku, słodkokwaśny proces. Sygnatura pliku ma tendencje halucynogenne, a kod sięga po niestandardowy format goryczy zeskrobanej z blaszek mchu. Menedżer zadań nie istnieje, uważajcie na domofony. Saga została rozlana. Trzonek pogryzły borsuki. Przed wyruszeniem w drogę należy zebrać śliny. Trwa wczytywanie…

Redakcja Strony Czynnej

poezja

Tomasz Bąk

Urodzony w 1991 roku – kolektyw schizofreniczny, autor trzech książek z wierszami, poematu *Bailout* (2019) i jednoaktówki *Katedra* (2019). Laureat Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius w kategorii debiut, Poznańskiej Nagrody Literackiej – Stypendium im. Stanisława Barańczaka oraz Nagrody Literackiej Gdynia. Mieszka w Tomaszowie Mazowieckim.

Hondo

Dwadzieścia sześć tysięcy punktów
to akurat tyle, by zdobyć osiem pierścieni.

Osiem pierścieni to akurat tyle,
by nie musieć nosić ich na kciukach.

Teraz rodzina zlikwiduje numer telefonu,
zamilknie na wieki poczta głosowa –

hej, przecież to numer zastrzeżony od dawna,
o tam, pod sufitem TD Garden.

Pan nie wie, kim ja jestem

Zatrzymany za jazdę bez dokumentów
poświadczających posiadanie uprawnień
do kierowania pojazdem, zawodnik Portland Trail Blazers
Qyntel Woods postanowił wylegitymować się
kolekcjonerską kartą koszykarską ze swoją podobizną.

Streetball. Wypis z Tadeusza P.

Streetball.
Dwa prostokąty z pleksy nad prostokątem z betonu.
Hymn kolan.
Gdzieś w pomalowanym shotblocker się czai,
leci w aut pomarańcz – kara.
Crossover, dwa pivoty, …bach-bach… próżność swą rozbuchał.
Słońce = tylko guma lub skóra.
Koszykarz = drab z mięśni.

Poster

Przyszło nam oglądać mecze
w najlepszych czasach
dla druku wielkoformatowego,
i nawet jeśli tęskno nam
do Shawna Kempa i Larry'ego Johnsona,
ewentualnie do zerwanego przez wichurę
posteru z dunkującym Chrisem Webberem,
na wszystkich znanych nośnikach
kolekcjonujemy starannie wybrane
wysokopikselowe fotografie koszykarzy,
którzy uznali, że właściwie czemu nie,
to chyba nie jest taki zły pomysł,
i wzięli na plakat Arona Baynesa.

Bo choć czasem pozujemy na ekspertów
i rozpływamy się nad Ripem Hamiltonem
wybiegającym na pozycję po serii zasłon,
i doceniamy inteligencję Malcolma Brogdona,
który ścina pod kosz w idealnym momencie,
i wydaje nam się, że znamy wszystkie kombinacje
wznowień z autów drużyn Doca Riversa,
i szukamy najczystszej formy poezji
w zmianach krycia defensywy, która switchuje WSZYSTKO,
tak naprawdę, gdy nikt nie widzi, zagryzamy
czterdziestoprocentowy roztwór akcji sezonu
tym, co akurat zostało z Timofieja Mozgova
po kolejnym meczu przeciwko Lob City.

Błogosławieni skoczni, bo to ich wyniosą na witraże,
błogosławieni cisi, bo nie skończą z technicznym.

Kajetan Czerwiński

Mieszka w Warszawie, student filologii polskiej UW. Publikował w czasopiśmie „KONTENT”. Czeka na publikację w „Tlenie Literackim”. W 2020 roku wydał własnym sumptem zbiór poezji *Muzyka z katafalku*.

moja pierwsza miłość była przez komputer

I

remonty wypływanie zbutwiałych miłości
gładkich kawałków drewna woda je obmyła
pudło które teraz obejmujesz wzrokiem
Stary, nawet nie pytaj. brama muszla zdanie
co otwiera powieść
mieć oczy jak żaluzje
mieszkać w pudle mieszkać w czterech ścianach
czaszki które kurczą się ciągle
my to tylko myśl
i tylko magia stykamy się orbitami
jesteśmy odpowiedzią na pytanie w kompresji
stratnej
ostatnią
wyjść z muszli zbyt ciasnej
Czyli gramy.

II

więc wyszedłem z muszli
skoro już nie słychać
morza i tylko czas popłynął dalej
jak sen hipestety w ciemności
czym będziesz?
i kim jeśli jesteś zawsze pozostaniesz?
podaj swoje kordy tę odpowiedź znajdę
nawet gdy pytaniem będzie pusty serwer
Jutro gramy?
już mówił nie pytaj
Jeśli będziesz.

Neveah

jeśli niebo nad tobą zrobi się ciemne jak ci których kochasz
bo murzynowi z barbudy omsknie się skalpel czy co tam
nie bój się pamiętaj co pisała szymborska *nic dwa*
razy poza tym go pozwiemy za odszkodowanie
kupimy ci oczy z Chocolate Diamonds i zostaniesz
piękną Afroamerykanką wiesz jak Beyoncé albo jak
jakieś ciekłokrystaliczne conwayowskie ciało
chociaż w sumie pomysł był dobry z tym błękitem
jaja drozda *slash* nieba *slash* odbicia w tafli

ostatnie godziny dnia sądu, ciechocinek, hajnówka

to będą plus minus dwie i pół dekady
i nic specjalnie nagłego –
giętka plastikowa żyłka w gąbce kory
god's helmet może trumna
bez drzwi prędzej przejdzie przez
earbud lodówki-apartamentowce
zależnie od patentu (neuralink nirwana)

i to nie starych zabiorą ale na odwrót
wnuczków gdzieś wetnie telefon zmierzy ruskie lata

a potem przez judasza – Wielkie Rozglądanie
w *ciasnych-ale-własnych* hajnówki ciechocinka
ciemnych niskostropach ogrodach warzywnych dusznych blokach
ale nie zdziwienie raczej
czekanie aż zapalą
światła
już poszli? słyszysz zza bilboardu –
to stary dobry pan jezus macha ci stygmatem

napędziłeś nam niezłego stracha ancymonie
uśmiechnie się twoja babcia pokiwa palcem karcąco

amerykańscy naukowcy odkryli
że wszyscy pójdą do raju (jednego albo
drugiego ale każdy swojego)
i odtąd nie spłoszy ciszy kościołów biedronek
nic poza szelestem krzyżówki
wzdychaniem kundli
serwerowni
firanek

Agnieszka Frankowska

Urodzona 8 marca, publikowała m. in. w pismach „Zadra”, „Furia”, „Czas kultury”, „Strona Czynna”, „Drobiazgi”, „Szajn”, „Magazyn RTV”, „Magazyn Malkontenty” na stronie „Babiniec literacki”, w zinie „Queer After Gay”. Jej tekst można znaleźć w antologii polskiej literatury queer *Dezorientacje*. Jedna z bohaterek filmu dokumentalnego „L. Poetki”. Mieszka w Poznaniu.

barcelona

była w Barcelonie
w naszych gardłach
gorąca ślina i cydr

gra na instrumentach
do późnego popołudnia
jednopłciowy ślub

dwa drzewa

w rękach korona
w listkach tabsy
o składzie zbliżonym
do białego szumu

jeszcze zanim będziemy
ścięte –
święte
korzeniami obejmiemy
korzenie

rozłożona

zbieram
językiem
kolibra –
językiem
jaszczura
– drażnię

w imię ciągło –
ści
zrzuca
ciszę
wokół wyspy

Jakub Gutkowski

Pod własnym nazwiskiem debiutował w „Stonerze Polskim”. Tłumaczy z języka angielskiego i na język angielski. Okazjonalnie pisze recenzje muzyczne i książeczki do płyt. Współorganizuje Festiwal Dwa Piętra. Absolwent Uniwersytetu w St Andrews na kierunkach filozofii i historii.

koniec sezonu

znachor wiąże ręce parafian z uśmiechem,
pozdrawia ich z playbacku zachodząca gwiazda.

potem burza buja polem żyta.
na tylnym siedzeniu samochód milczy

wymownie, w drodze powrotnej, jak
trzaśnięcie drzwiami. przysięgam –

na polu bansowała mysz w koloratce,
okruchy na rzece, kropka robi zimę.

***

rzezi można uniknąć, mówi konstabl, jeśli
ułożymy plan strategiczno-taktyczny dla konkretnych działań
na szczeblu międzynarodowym, regionalnym i lokalnym.

tydzień po rzezi stajemy przed innym
problemem: czy teraz czas liczyć od pierwszych
słów konstabla po ich ostatnie

przedmioty? czy zwierciadło wód podziemnych
jest skażone, czy dystych to powidok –
i nie wolno mu ufać?[1]

---

[1] drastycznej dewaluacji ponura konstatacja
mucha/wiersz złapana pomiędzy dwiema
taflami zespojonej szyby próżniowej jak
późny kwartet beethovena pazury
peregrynacją zniweczą obstrukcję pójdziemy
pójdziemy w końcu na ten jesienny
spacer, kwiatuszku

wulkan

Wszelkie pomyślności tej wiosny zbierzemy i z dymem puścimy.

miasto sprzedaje nam blowback. już nie ulepisz bałwana,
nie chcąc być oskarżonym o propagowanie mowy nienawiści. miasto

zmusza młodzież do zamalowywania sloganów white power. najpierw
daje im za małe pędzle a potem dorzuca kilka stów

za obsuwy w pracy. miasto rozrosło się jak choroba, której
najwcześniejsze ślady znaleziono w kościach zwierząt, którymi

dzisiaj w piecach pali miasto. powiedzmy to
sobie szczerze: miasto rozrosło się jak rak.

trzeba coś z tym zrobić, trzeba kogoś, by coś
z tym zrobił. może mój kuzyn? ostatnio wyrzucili go

z roboty w naszym lokalnym wulkanie, bo brał lawę. chciał
dogrzać mieszkanie. złapali go na gorącym uczynku.

miasto nie odpisuje na listy, miasto udaje, że go nie ma
w biurze, choć w wilgotnym wieczorze, z ulicy, widać,

jak krąży nerwowo i odpala papierosa za papierosem,
grzebie w kartotekach, zmienia nam imiona, kręci,

cętkami znaczy najlepsze dni naszego życia.
sprzedaje nam shotgun.

Spokojnej starości nie ma w kościach ani w dużym pokoju.

Konrad Góra

Urodzony w 1978 r. Za tom *Pokój widzeń* (2011) nominowany do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius, którą otrzymał w 2020 roku za *Kalendarz majów* (2019). Wydał również książki *Requiem dla Saddama Husajna i inne wiersze dla ubogich duchem* (2008), *Siła niższa* (*full hasiok*) (2012) *Nie* (2016) i *Kalendarz majów* (2019), który oprócz Silesiusa przyniósł mu nominację do Nagrody Literackiej Gdynia i Nagrody Literackiej Nike. W 2020 r. ukazał się jego wybór wierszy *Wojna (pieśń lisów)*. Autor wyboru wierszy Anny Świrszczyńskiej *Kona ostatni człowiek*. Mieszka w Ligocie Małej i lasach.

ze składanego tomu *Dzień został w nocy. Wiersze miłości i z nienawiści*
(Dùn Èidean - Ligota Mała 2021)

Co gościniec

W Polsce wolność jest faktem
W Polsce wolnością gardzić nie wolno
To nie jest nadzieja bękartów i pograbków
To nie jest naciągana narracja pokurwieńców
W Polsce wolność i nadzieja druzgoczą zakulisowe zakusy
samozwańców kontrofensywy przepierzenia
ustawionego co gościniec co punkt poboru opłat
Przepierzenia za którym jest Polska naga
O wklęsłej czaszce oczodołach pełnych utraty
W definicji wolności podane są współrzędne Polski
W definicji nadziei użyto gipsu maszynowego

Nie pomyślałem

Nie pomyślałem, patrzy całym ciałem,
ta myśl kona, odkopuje, rozkurcza się,
z zagryzionej wargi paruje aceton: -
A kiedy śmierć byłaby przydatna,
można by bać się o nią, zbierać to,
jak oddaje westchnienie zza różnicy ciśnień,
jak rozbija bank i ołtarz, upublicznia dane,
jak nie dane jej dożyć uznania,
można widzieć przez nią, nie pomyślałem,
całym ciałem, miasto konań.

Chiński

Obudziłeś się po drugiej stronie snu?
Ptaki cię słyszą,
rzeki lgną do brzegów,
jedzenie na stypach lży doskonałością?
Tak wyobrażam sobie spełnione zło,
Śląsk okupujący Polskę, Czechy,
ciszę zapadającą w domach neofaszystów
po seansie porno w dobie piłkarskiego meczu,
kiedy zostaje tylko przesterowaniem
systemu alarmowego zamknąć je od dworu
i spać bez śnienia, drzemką,
do świtu w państwie pracowniczym.

Dąb Bakłażanu Widawskiego

Dziewczyny grillowały cukinię,
aż wyszedł im bakłażan -
a ja spałem obok, w piachu
tak przeschniętym, że przy
gorszych postaraniach
robiłbym za żółciaka w sezamie.

Wykrojony

Ty chichocie trupa, jazdo na worku z sianem
przez pochyły cmentarz,
przez grób masowy położony na boku,
eksplorowany po naszemu, jako odkrywka,
przez Rwandę i Bośnię, przez Bośnie i Rwandy,
od ciebie chujami batami gonić żywych,
ciebie kłaść pod zabitych,
tobie iksować żebra, w czasce podawać powerade, tobie
przez nozdrza pochowanego
żywcem sączyć blacka mojito
z Mickem Tysonem za ikonę, żebyś poczuł,
żeby pękło ci serce sklejone przeżutym
na informacyjną papkę agarem
i lnem, żeby pękło tak, jak pęka klin, kiedy
wbijają go w w zrośnięte już
miejsce, z którego wykrojony.

Agnieszka Wolny-Hamkało

Pisarka urodzona w 1979 roku we Wrocławiu. Opublikowała powieści *Zaćmienie* (2013), *41 utonięć* (2015) i *Moja córka komunistka* (2018). Wydała także tom szkiców *Inicjał z offu* (2013), poemat *Nikt nas nie upomni* (2016) oraz dziewięć tomów poezji: *Mocno poszukiwana* (1999), *Lonty* (2001), *Gospel* (2004), *Ani mi się śni* (2005), *Spamy miłosne* (2007), *nikon i leica* (2010), *Borderline* (2013), *Występy gościnne* (2014), *Panama smile* (2017). Jest także autorką dwóch książek dla dzieci: *Nochal czarodziej* (2007), *Rzecz o tym, jak paw wpadł w staw* (2011) oraz redaktorką pięciu antologii opowiadań. Jej wiersze przełożono na piętnaście obcych języków. Laureatka nagrody Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Kuratorka literacka Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania. Mieszka we Wrocławiu.

rekonstrukcja lwa

Opowiedz o kotach z sześcioma palcami. Że potem paskudnie
spóźniony jechałeś nad Prądnik Czerwony zanurzyć się w nurcie
czarnego Prądnika, podczas gdy Ju. już wrzucała zdjęcie
po zdjęciu z butami o światełkach cargo. Ten wtorek zdychał
jak postój taksówek: październik lał z mostu, maseczki do Lidla
prezydent dostarczył, kościół dał posty o końcu historii, lękach
śmiertelności (ktoś patrzył nam w oczy, kochanie, ktoś nam w oczy patrzył).
We wzburzonej wodzie ociemniałe wydry, zbyt szybko się tęcza
rozpadła w bolidach. Przestałeś się starać już na samym starcie,
przemyślałeś hałas, przekaz przedstawienia: że domu nie można
posprzątać po prostu.

czego nie rozumiemy

Leszkowi Koczanowiczowi

Ale my, ludzie lądu, w powszedni dzień uwięzieni wśród desek i tynku
nie rozumiemy, że wystarczy zatkać uszy szmatą, w usta wsadzić kolbę
kukurydzy, z wianka cebuli strząsnąć śnieg, żeby zobaczyć
πr2 wielorybów między wschodem a zachodem słońca.

Janusz Styczeń już nie wstaje

Drewniany ludzik o tępym spojrzeniu ocenia objętość
mojej aureoli. Święto się nieruszania. Pies rakiem
cofa się do szafy, chowa między płaszcze cuchnące molami.
Nie chce iść na spacer, kwiecień go zbyt boli.

Poprzeczkę znikania podniosłeś wysoko, wisi ci zębodół,
dół głodowy ssie, za lustrem weneckim rozbite kryształy,
złe kulki, chaos ponad stan – gwiazdy serialu z dzieciństwa
całe podrapane.

Anna Beata Háblová

Urodzona w 1983 roku w Pradze – poetka, architektka, teoretyczka. Absolwentka Wydziału Architektury ČVUT w Pradze. Wydała tomy wierszy: *Kry* (2013), *Rýhy* (2015), *Nevypínejte* (2018), *O mé závislosti nikomu neříkej* (2020). Jej teksty były tłumaczone na polski i hiszpański. W centrum kulturalnym Dominikánská 8 moderuje wieczory poetyckie, spotkania o sztuce i architekturze. W 2017 roku wydała książkę popularnonaukową *Města*. Jest członkinią czeskiego Stowarzyszenia Pisarzy (Asociace spisovatelů). Mieszka w Pradze. W Polsce jej wiersze ukazały się w antologii poetek czeskich *Sąsiadki* (Wrocław 2020).

Tłumaczka:

Zofia Bałdyga

Autorka książek poetyckich *Passe-partout* (Warszawa 2006), *Współgłoski* (Nowa Ruda 2010) oraz *Kto kupi tak małe kraje* (Warszawa 2017). Absolwentka Instytutu Slawistyki Zachodniej i Południowej UW. Tłumaczka najnowszej poezji czeskiej i słowackiej. Autorka antologii poetek czeskich *Sąsiadki*, która ukazała się w październiku 2020 roku. Współredaguje „Drobiazgi". Mieszka w Pradze.

z tomu *O mé závislosti nikomu neříkej*

Brzeg 10

Porządek jest porządkiem w jednym tylko miejscu
wiatr mapuje teren omija mnie
zsunięte na ziemię światło pęcznieje
na przedmieściach każde drzewo ma własny numer telefonu
na przedmieściach prześcieradła są wolne od roztoczy
jako ostatnie danie czeka nas wrażliwy naskórek
jako ostatnie danie podaje się martwe gołębie

Brzeg 14

Usychający las w deszczu nie do poznania wśród innych
wszystko jest podobne: kałuże, bagno, chaszcze
niebo jak przesuwna ściana
stoję w tym jakbym nie rozumiała miejsce
które nie chce już niczego pamiętać
jestem płaska jak kartka papieru, zapisana z obu stron
moje obawy nie mogą się od siebie oderwać
ani na siebie popatrzeć

Włókno 9

Jak poznać środek lasu
tak że jest w nim polana która pulsuje kurzem
że codziennie przychodzę właśnie tutaj
zawsze tak samo dziwiąc się trawom
robię przysiady i rozciągam ręce
jak poznać takie ręce
przez chwilę jestem trawą
przez chwilę widziałam słowo pulsować

Włókno 13

Na niebie świeciły ekrany
w dole duszny mrok namiotu cyrkowego
oddech spoconej gliny gdzieś tam też popcorn
mamo nie chcę żebyś umarła
tresowane tygrysy warczą na siebie
wszyscy umrą ty też kiedyś umrzesz
poskramiacz strzela z bicza a dziewczyna
w bikini nadstawia własne boki
zdjęcia można robić ale nagrywać nie

Mykoła Humeniuk

Urodzony w 1997 roku w Żytomierzu. Poeta, tłumacz i badacz. Ukończył studia filologiczne na Kijowskim Uniwersytecie Narodowym im. Tarasa Szewczenki. Laureat konkursu literackiego Smołoskyp (2017, 2018). Uczestnik oraz współorganizator wydarzeń na festiwalach ArTerapia (Żytomierz), Forum Wydawców (Lwów), One Caucasus (Gruzja). Obecnie mieszka w Stambule.

/backdraft/

Çınarlı, kubbeli, mavibirliman.
Beni o limana çıkaramazsın...
(c) N. Hikmet

sierpień
mijając dziesiątki
czerwonych agitatorów
zajęliśmy bez boju
żądany stolik

wspominałem coś
z bajek szabłowskiego
i my milczeliśmy
w pamięć o błękitnookim
poecie

każdego razu
jak tam przychodzimy
palimy nowe papierosy

pierwsze
były bułgarskie
w pamięć o bałcziku
i błękitnej przystani

/crank call/

to jest najgorsze
gdy piasek w kieszeni
odbiera twoje
połączenie
(c) A. Borzęcki

I.
wrony i kawki
spiskują na brzegu
knują inwazję
na parking

ktoś podrzuca zboże
pod twoim autem
czy to właściciele myjni
ostrzą zęby na twoje
kieszenie?

II.
morze dzwoni do piasku
z mojej kieszeni

halo co słychać
zaraz spotkamy się
w butach
z twoimi krewnymi

przepraszam
ten idiota stoi za daleko
od brzegu pozdrów ich
ode mnie u tego
idioty w domu

nie uda mi się dzisiaj

/fadżr/

nie wiedziałem że sąsiedzi mieli psa
aż ten nie zaczął szczekać na adhan
wstałem żeby zmyć zimne fusy
z których nie wypadało wczoraj
czegoś nawróżyć

świt nadchodził szybciej niż
pojawienie się kresek na obrączkach
nie budziłem cię i nie zamieram
pozwolić ci iść do pracy

twój budzik w telefonie spał
subtelnie wsadzony w spodnie –
o nim też zapomnieliśmy
wczoraj

Piotr Janicki

Autor trzech książek poetyckich. Laureat Nagrody Literackiej Gdynia 2015, w kategorii poezja za tom *Wyrazy uznania*. Nominowany do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius” 2017 w kategorii książka roku za tom *13 sztuk*. Laureat Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego za rok 2018. W latach 2005-2009 współtworzył zin poetycki „Cyc Gada”. Mieszka w Supraślu.

Wczoraj

Wczoraj to wczoraj, a dziś spadł śnieg o płatkach tak masywnych, jak plastry jabłek.
Potem jakaś siła chyba puściła w ruch to samo, bo mnie pod wieczór jako wspomnienie
wyminęło lewym pasem* i zostawiło za sobą.

Poranny seans

Ćwiartki buraków rozsypałem nad rowem wodnym, skąd rankiem wychodzi para bażantów,
żeby skubać pestki strącone na trawę przez śniadające w karmniku wróble i sikory.
Wracając do domu, pomyliłem z ptakiem skórę mandarynki, która w popielisku wydymała
swój jaskrawy brzuch i zamarzła.

Miłość

Natknąłem się na ciebie przy pomoście, na który wszyscy zeszliśmy chyba tylko po to,
żeby pożartować.
Potem w świetlicy przemykałaś się między minutami i łaskotałaś moje oczy.
Jeszcze tu chwilę pod nosem pomruczę, że jutro znów spotkamy się w łazience i też
wskakuję do łóżka.

_____
* a tych pasów jest ze czterdzieści i sam nie wiem, co się w nich jeszcze mieści

Nina Manel

Poetka. Mieszka w Krakowie. Autorka książki *Transparty* (2019).

Do Harrego, któremu przepadł tron

Nadzieja, niewykształcony płód.
Dobrze się ukrywa – jak motyl
trzepocze na ustach. Nie zmusi

do wydania słów. Nadzieja to
nie dziecko, co leży na ręku,
określone wagą, wzrostem i wymiarem.

Psuje od środka – zbyt słabe ostrze,
ale w zadraśnięciu zbiera się gangrena.
Zważ Książę: zgubę może przynieść
upiór w jasnym przebraniu – najlepszy morderca.
Czy choćby istnieje?

Kopiec Kraka Młodszego

Przeszłość:
        żel oblepia mózg i zatyka pory;
Pamięć nosisz w brzuchu, chropawe kamienie.
Promień, jasna struga
– obmywa len głowy.

Zbrodnię mieścisz w ręce; znamię pod koroną.
ciało połknie glina, rozrośnie się less.
W skarbcu brak klejnotów, wewnątrz warg – historia.

[wyżęta, metaliczna jak różowe złoto]

Marta Mitek

Mazowszanka. Rozmaite teksty publikowała m.in. w „Helikopterze”, „Drobiazgach”, „Fabulariach”, magazynie „G’RLS”, zinach „Girls to the Front” oraz „Krzak Papier”.

mokry ług

mech wskazuje północ. i co z tego –
nie mam gdzie wyjść dalej z lasu.

daję cukier, hoduję sobie ciało
ze szkła, żebyście widzieli, jak rośnie
we mnie zmęczenie siłą.
codzienny pożar torfu i słów
zbitych w karambolu,

woda stoi po mojej stronie
– szukałam,
już jestem

[mów prosto]

mów prosto, o co ci chodzi, korzeniu.
może już czas wypowiedzieć służbę

w ramach okien i cudzego tempa?
jak ganić tych, co biegną w ogień,

mówiąc o zabiegach nie ściszają głosu,
o jakich to gruzach? chrust, a nie ciało.

nie szkodzi (polubi to ktoś inny)

na spróbowanie

uciekać od przyrody i lekcji z cudzych dykcji,
bym się mogła nałożyć różem wartym złoto.
ropa im lżejsza, tym słodsza – wybieraj,

tnij, gotuj,
za pamięci tych, których już nie ma,
bo są teraz bardziej – ten, co stratny, wie:

będzie kolejny zachód i za nim chwila
oparcia powierzchnią dłoni
o falę.
tak trzymaj

element przodków

przedłużaj się, jak potrafisz:
ćwiczonym mięśniem, snem
głębokim, kolekcją wylinek.

w podnoszących się wodach
naucz się pływać – nurkuj
po zmianę, bez butli na tlen

wypisz się, zanim
zdecydują sami

iść drogą naturalnego doboru
po dorobek i diesla i młaki

ten kąt nazywa się na pewno

lato, a w drzewach znaleźliśmy lodówkę z mięsem
albo z lodowców zbiegania – po filtry – na bezsens

(tyle tu biegu, co w nas smużenia) za to mnie oddacie
i za ruch puszczenia szczęki, by przelać oddechem
miednicę, wzięcie pod opiekę, co cię niesie w świecie

niech tobie będą te słowa – jeśli jest jeszcze czytanie
niech tobie będzie wiadome – nie jest pamiętane

dla siebie nic nie chcę. uciekam w ziemię, co kłamie
idź
na pewno
znoszone sobą zdanie dzień, a już zepsute.
iks między oczami – tu kopać, tu skarbiec

Michał Mytnik

(aka szirurirru) Urodzony w 1997 roku. Członek Gangu Jakubów. Debiutował w „Stonerze Polskim”. W 2021 r. nakładem Biura Literackiego ukaże się jego debiutancki tom wierszy *hoodshit (griptape)*.

Lapidarium o Wielkiej Płycie

Nocą refleksy – niebieski z czerwonym,

wśród krwistych kałuż przekuwa się lód.

Tak mokną ławki, czekając na wejście,

kiedy cholernie nie wchodzi mi rzut.

Chłopaki,
robicie trochę dymu, robicie trochę syfu,
a rzeka to upierze.

Chłopaki,
to nie jest wygodne odbierać sygnały,
gdy narasta wciąż echo.

(Brudnopis rysopisów jak lapidaria
crackheadów. Nie żaden kodeks
z marmuru, a buty z betonu i nurt
to wszystko im porwie i
luz.)

Zsyp

Opuszczałem ławy jak amstaf schronisko.
Nikt się nie modlił, >każdy< siedział cicho.
Ta ścieżka to winda, w której zemdlejesz.

Co tam widzisz szeroko, gdy zamykasz oczy?

Za oknem zimna zupa bulgota w taczkach,

Za 1,5h pod Jubilatem

kiedy podziwiam lustro, którego nie rozumiem.
kiedy pytanie jest problemem wszystkich potrzeb albo:
potrzebą wszelkich problemów.

kiedy w galaktyce obok postawili stadion.
kiedy zniszczyli w niej klimat.
kiedy zrobili z niego szpital.
kiedy niebieski wirus jest planetą gazową.
kiedy płaczą oka cyklonu.

kiedy myśl ma 4 ściany.
kiedy chuj mnie obchodzi Europa ojczyzn.
kiedy znowu to cofam, by za chwilę powtórzyć.

kiedy sad to chwastnarajstopa.
kiedy jabłoń daje owoce granatu.
kiedy kwiat ma woń lukrecji, którą nie sposób się najeść.
kiedy kilogram słów waży kilogram.
kiedy każde to minuta.

Tablica

Nabrzmiałe usta znów dają przester symfonii.
Wgryzają się w pomarańcz jak księżyc spod ciała.
Gdzie jest mój drink, gdzie koka, gdzie palma?

Jak się odezwać, by spadł w końcu deszcz?

Jak dalej płynąć myśląc o dnie? Jak łapać tempo?

Nie mam co czuć, gdy pory są pełne.
Noc krótka jak żart i mokra jak tekstylia.

Łapacz Snów, przy którym ciągnie niepamięć.

Otwieracz Szkieł, z którym rany chodzą na spacer.

Ja tylko zeruję objętość, czasem przemieniam w pył.
Dodawałem tyle maggi, ile wytrzymał język.
Mnożyłem dzieląc. Dzieliłem mnożąc
i stoję z tym jak: *eyy mogę już usiąść?*

Viliam Nádaskay

Urodzony w 1994 roku. Studiował anglistykę na wydziale filozofii Uniwersytetu Komenskiego w Bratysławie. Pracuje w Instytucie Literatury Słowackiej na Słowackiej Akademii Nauk. Od 2019 redaktor internetowego pisma „Platforma pre literatúru a výskum" (www.plav.sk). Zajmuje się także krytyką literacką. Debiutował w 2018 tomem *Vynechány spoj* (*Zaniechane połączenie*). Obecnie przygotowuje do wydania drugi zbiór.

Tłumacz:

Konrad Góra

Patrz s.19.

z tomu *Vynechaný spoj (Odrzucone połączeni*e), Bratysława 2018
ze słowackiego przełożył K. Góra

Lekcja anatomii

I.

nogi mojej matki
rozkraczały się dla wielu mężczyzn
no ale to nie takie znowu nieważne
że także dla rąk mojego ojca
i ginekologa

nogi mojej matki
długo walczyły z kilogramami
którymi jej syn podziękował za życie

próbowały różnych diet
ćwiczeń
terapii
i razem z synem uczyły się
że nie można mieć wszystkiego

przymierzały parę par butów
spodni
sukni
aż zrozumiały

nogi mojej matki
nadepnęły na gaz
dlatego żywią głęboki strach
przed pedałem hamulca

nie wybierają programu w telewizji
kiedy leżą na tapczanie
po dniu pracującym

biorą wszystko

nogi mojej matki
wiedzą co dobre dla jej syna
która nie umie gotować
która jest ze złej rodziny
która nie umie się zachować

nogi mojej matki
nie próbują już uciekać
stwardniały
biorą to na przeczekanie

urodziłem się spomiędzy nóg matki

II.

ręce mojego ojca
trzymały boki mojej matki
pociły się
rozdrapały ręcznik
ale było już za późno

kiedy się urodziłem
ręce mojego ojca już tam były
żeby umyć cielesną kryjówkę
swojego syna

ręce mojego ojca
zasługują na zaufanie
którego doświadczyły w trzech instytucjach państwowych

prowadzą kierownicę z wrodzoną naturalnością
jednocześnie ustanawiają mediację
i biją w klakson

ręce mojego ojca
rozpoznają niesprawiedliwość
kłamstwa
prawdę
odmienne zdanie
i inne przestępstwa
z kilometra

ręce mojego ojca
pomału wrastają w oparcia
różnych foteli
bo rzetelnych mebli już się nie robi

ręce mojego ojca
skwapliwie dzierżyły broń
i tego samego oczekują
od moich rąk

urodziłem się w ręce mojego ojca

III.

dom to ciało
z komórek którego się składasz

skóra się łuszczy
włosy wypadają
paznokcie się łamią

tylko ty jakoś ustajesz

Przemysław Suchanecki

Urodzony w 1992 roku w Szczecinie. Poeta. Publikował m.in. w „Odrze”, „Opcjach” i „2miesięczniku”. Laureat Połowu oraz projektu Pierwsza książka w ramach festiwalu Stacja Literatura.

Przestrzeń, wiatr od morza, ktoś

przestrzeń rozszerza się gdy idziesz w jej stronę
wiatr od morza wbija między giętkie sosny,
wtedy ktoś przychodzi zaczyna judzić czas,
wtedy ktoś przychodzi żeby coś zakończyć
coś czego nie będzie już pod żadnym dachem
co nie będzie całością częścią punktem odniesienia
wspomnieniem w przestrzeni o której się nie dowiesz
a która jest coraz szersza
dla was tutaj zawsze

Międzynarodówka 71

Siedmiu Sarmatów powleka faktury
Siedmiu Tatarów filetuje śnieg
Ośmiu Prusaków klika w swoje zęby
Ośmiu Austriaków wchłania swoje konto
Dziewięciu Hindusów marznie w suterenie
Dziewięciu Hiszpanów koroduje w morzu
Trzech Amerykanów potęguje posty
Dwudziestu Francuzów nie może się zebrać

15 grudnia 2020

15 grudnia 2020 na krakowskich błoniach
kobieta w niebieskiej kurtce nawołuje wielkiego, białego psa
i słyszę tylko:
Mefisto, do mnie
Mefisto, do mnie
Mefisto, do mnie
Mefisto, do mnie
Mefisto, do mnie
Mefisto, do mnie
Mefisto

12 domów z obłamanym dachem

Z wolna rąbie nas ręka pod złamanym dachem,
pod zdradzonym dachem płonie nam futryna,
mak się wysypał z sakwy na wzgardzony punkt,
nie mogę sobie przypomnieć zwrotnego momentu,
gdy pokochałem bardziej chimerę, niż przedmiot,
garść chimer zbierze się wzdłuż granic serca
bestia Saturna zmieści się koło mnie
poczwara Raka porąbie nas wszystkich

Grzegorz Uzdański

Urodzony w 1979 roku, twórca *Nowych wierszy sławnych poetów*. Uczy filozofii i etyki w warszawskim XX Społecznym Gimnazjum na Raszyńskiej. Obronił doktorat o wczesnym Heideggerze w Instytucie Filozofii UW. Należy do Porozumienia Kobiet 8 Marca. Publikował wiersze w „Lampie", „Kresach" i na dwutygodnik.com, śpiewał w zespole Przepraszam, wystąpił gościnnie na płycie ,,Chopin Shuffle" zespołu Levity. Obecnie wokalista zespołu RYBY. W 2016 roku ukazała się jego powieść *Wakacje*. Mieszka w Warszawie.

Pinokio

Pinokio
skręca w stronę rogatek
dom zostawił za sobą, lecz chce mieć przyjaciół.

O bruk podeszwą z drewna, a poza tym cicho
och Pinokio, uważaj na lisa i kota.

Elvis z okna po lewej śpiewa ,,In the Ghetto",
to ostatni dom w mieście, dalej las. Gepetto
pewnie strasznie się martwi, dzwoni po szpitalach,
ale ja muszę iść.

Och Pinokio, uważaj na lisa i kota.

Jestem z drewna i mogę dać takiego kopa,
że nie radzę kozaczyć ale to nie znaczy,
że nie chcę mieć przyjaciół.

Och Pinokio, dla ciebie gościniec i las
to nowość, zwłaszcza nocą, a oni tam żyją.
Nie chcą twojej przyjaźni, tylko złotych monet,
to nic osobistego, to jest walka klas.

Ale ja jestem z drewna i oprócz Gepetta
nie mam nikogo na świecie. Ich to nie obchodzi.
Miałeś kiedyś przyjaciół takich, że myślałeś,
że śmieją się za plecami?
Byłeś z nimi w podróży, że niby wspaniale,
ale czułeś, że zaraz coś złego się stanie,
ale nie chciałeś oddać tej przygody za nic
i nawet jeśli nie chcesz to chcesz z nimi iść?

Boisz się nas Pinokio?
Nie, zupełnie nie,

odpowiada Pinokio i nos się wydłuża.
Och, oni wiedzą.

* * *

Kończy się zima, której nie było.
Kot czai się na miotełkę, bardzo skupiony. I skoczył.
Widziałem dziś osobę, którą kocham. Wieczorem
Oglądam filmy o szachach, nie umiem grać, ale ten facet
tak śmiesznie wszystko wyjaśnia. Oglądam je prawie godzinę.
Kot śpi na łóżku i pokój wypełnia się jego snem, mniejszym
niż ludzki. Największe są chyba sny słoni. Niedługo
będą liście i kwiaty, kot zapoluje na muszki,
które nie dadzą się złapać, co innego ćmy, całkiem
splątane. Boję się wojny. Zadania na jutro: wstać wcześniej,
wyprać zasłonę z prysznica, wymienić kołdrę na lżejszą,
wiosenną.

Gouda czy edamski?

Oli

Pani w sklepie spytała: gouda czy edamski?
A ja się zamyśliłem. Problem z decyzjami.
Myślałem chwilę o serach, ich nazwach i smaku
i przedziałach cenowych, i magii Holandii,
ukrytej w słowie „gouda", i że to niesprawiedliwe,
że częściej kupujemy te sery, które ty chcesz
niż te, które ja (tak uważam) i jeszcze o śniadaniu w wakacje,
kiedy toster się zepsuł i prawie był pożar,
jedyny w życiu na jawie. A potem nie pamiętam
o czym jeszcze myślałem, ale chyba długo,
bo kiedy, czując nagle zapach żywicy, spojrzałem
na ekspedientkę, nie było ani jej ani sklepu,
tylko czerwone sosny o wysokich pniach,
a między nimi latały jakieś owady przyszłości
w lśniących robocich pancerzach. Sosny skrzypiały na wietrze,
chwiały się wielkie paprocie i pachniało żywicą
i byłem sam.

proza

Maciej Bobula

Poeta, prozaik, nauczyciel, czasem śmieszek, czasem płaczek, stały bywalec lasów i łąk. Bardziej niż w Boga wierzy w demaskulinizację społeczeństw, homoobcowanie, socjalizm i – wzorem ukochanego Dereka Jarmana – w to, że niedługo świat pełen będzie puszystych kaczuszek. Mieszka w Szalejowie Górnym albo w Haderslev (zależnie od pory roku), gdzie przygotowuje różne rzeczy pisemnie.

Franciszka, Maryśka i ja – 3 fragmenty

***

Tam, gdzie wisi teraz Franz Kafka, wisiał wcześniej Marcin, którego powiesiła tam Zosia. Potem Marcina przeniosłem do kuchni. Zosia, umierając, powiedziała, że jeśli chcę, mogę go zdjąć z tej ściany w pokoju. Obok Kafki powiesiłem zdjęcie Zosi, a potem Stefana. Tego Kafkę, już oprawionego, dostałem na koniec roku od uczniów, z którymi na lekcjach etyki rozmawialiśmy o zwierzętach, a konkretnie o passusie z Biblii, który mówi, byśmy zwierzęta czynili sobie poddanymi. Żeby urozmaicić dyskusję, kazałem uczniom przeczytać dwa opowiadania Franza Kafki *Sprawozdanie dla Akademii* i *Dociekania psa*, czyli teksty, w których zwierzęta mają swój głos, mówią do nas, a my dla odmiany możemy posłuchać, co one mają nam do powiedzenia. Te dyskusje o zwierzętach, a przede wszystkim chyba opowiadania Kafki, tak się spodobały, że uczniowie oprawili mi autora w ciemną, drewnianą ramkę i patrzył na mnie tym swoim przenikliwym wzrokiem ze ściany pokoju. Zajrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem:

– Kafka głupawka.

– Znowu piłeś? – odpowiedział.

– Piłem, bo mi smutno. A co? Ty ze wszystkich zdjęć tak gadasz? Jak widziałem cię na książce w księgarni i próbowałem zagaić, to nie odpowiadałeś. – Odwróciłem się od niego i usiadłem na fotelu. – I wyszedłem na głupka, ludzie na mnie patrzyli.

– To sam sobie teraz odpowiedziałeś.

– Ale to są jakieś takie specjalne zdjęcia, które są z tobą gadającym? Że trzeba było je poświęcić albo coś, wtedy zacząłeś się odzywać? Albo specjalne zdjęcia z wbudowaną sztuczną inteligencją i każdy może mieć swojego gadającego Kafkę za sto złotych? Ale jeszcze chyba nie ma takiej sztucznej inteligencji. Hmm, może zrobię ci test na Kafkę. Test – czy naprawdę jesteś Kafką? A jeśli tak, to w ilu procentach nim jesteś. Możesz wybrać kategorię: twoja biografia albo twórczość. Proszę, wybór należy do ciebie.

Cisza.

– Czyżby nasz test na prawdziwość Kafki miał się zmienić w zdemaskowanie oszusta, co? Chyba nawet napisałeś takie opowiadanie: *Zdemaskowanie oszusta*. To jak: napisałeś, czy nie napisałeś? To jest pierwsze pytanie.

Obrazek milczał. Podszedłem, zdjąłem go ze ściany i zamruczałem do siebie:

– Co jest? Zepsuł ci się głośniczek, hm? Wyczerpała bateryjka? A może ty zawsze byłeś takim obrazkiem kogoś innego, bo z samym sobą nie miałeś nic wspólnego? Obudziłeś się jednego dnia i skumałeś, że jesteś wizerunkiem jakiegoś gościa, który od dawna nie żyje. Eh, nie chcesz ze mną gadać, to nie. Popatrzę sobie w okno – powiedziałem, powiesiłem zdjęcie z powrotem na gwoździu i zajrzałem przez okno. Na zewnątrz było ciemno. Latarnie oświetlały puste chodniki po obu stronach ulicy. Nigdzie żywej duszy, jakby wszyscy wyjechali na wakacje w grudniu. Popatrzyłem chwilę na fasady kamienic, po czym poszedłem do kuchni, wziąłem butelkę z resztką wina i usiadłem na parapecie. Jutro mieli wypuścić Maryśkę ze szpitala i tak bardzo się tym denerwowałem, co z nią, że piłem bez umiaru. Jeszcze Kafka się na mnie obraził, ale chujnia, pomyślałem sobie. No i piłem jeszcze więcej, do nieprzytomności.

Rano przypomniałem sobie, jak przepraszałem Kafkę na kolanach i prosiłem, by znów był moim kolegą. Mówiłem, że to wszystko z nerwów, bo wciąż nie wiem, co się dzieje z Maryśką. Mówiłem mu, że zna Maryśkę, wisiał tam przecież cały czas, kiedy przychodziła. Chyba też wie, w jakim ona jest stanie, powinien mnie zrozumieć. Ale chyba nie zrozumiał, bo się nie odezwał. Poszedłem do kuchni, zdjąłem zdjęcie Marcina i z nim próbowałem rozmawiać, ale on też mi nie odpowiedział, choć bardzo go prosiłem. Pytałem, gdzie jest Zosia, czy są razem, czy widzieli gdzieś Stefana, czy Stefan był gdzieś razem z Bolkiem. Zosia poznała Stefana, wie, jak wygląda. Odstawiłem zdjęcie Marcina na miejsce. Patrzył w dal przerażonym i niemowlęcym wzrokiem, jakby wiedział, że już idzie po niego nieuniknione. Wziąłem Franza Kafkę i w pijackiej złości, a może nawet rozpaczy, że nikt nie chce ze mną rozmawiać, dorysowałem mu markerem na szkle wąsy. Takie, jak miał Hitler. Potem je zmazywałem i mówiłem na głos: – Przepraszam.

A w głowie mi kołatał jeden z podpunktów kafkowskich *Rozważań o grzechu, cierpieniu, nadziei i słusznej drodze*, numer czterdzieści cztery – „śmiesznie się dla tego świata wystroiłeś".

(…)

***

Na lekcjach gadałem z dzieciakami z trzeciej liceum o literaturze obozowej: Sołżenicynie, Szałamowie, Herlingu-Grudzińskim. Oddałem im kartkówkę z *Innego świata*. Jednym poszła dobrze, innym gorzej. Jeden chłopak zapisał sobie pytanie „Co to jest gułab?" i odpowiedział, że „Gułab jest to osoba wydająca ludzi w obozie w zamian za dobra materialne". Uczniowie i uczennice mają chyba problem z rosyjską nomenklaturą. Kiedyś, gdy zastępowałem koleżankę w podstawówce, zadałem pytanie, kim był Jurij Gagarin, na co dziewczynka odpowiedziała „Juri Goruli był rybakiem". No i tak. Aż strach zapytać, kim był Stalin albo Beria.

Z kolei dzieciaki z pierwszej klasy liceum miały napisać zadanie domowe na temat *Pochwały głupoty* Erazma z Rotterdamu. Konkretnie miały opisać paradoks w tej rozprawie. Zgłasza się ochotnik, Julek. Pytam go więc, czym jest paradoks. Nie potrafi odpowiedzieć.

– Ale zadanie domowe masz? – pytam.

– Mam – odpowiada.

– No to powinieneś wiedzieć, czym jest paradoks wobec tego. No, napisałeś przecież, nie?

Julek milczy.

– Kto ci zrobił to zadanie? – uśmiecham się, żeby Julek nie zestresował się za bardzo, choć trochę za późno, bo ma łzy w oczach.

– Nie wiem – mówi i zaczyna płakać.

(…)

***

W internecie przeczytałem, że wywoływanie duchów jest bardzo niebezpieczne i przed tą praktyką ostrzegają księża i internauci w komentarzach typu „na urodzinach wywołałem ducha z kolegom i się wszyscy zesikali w gacie ale duch dał nam spokuj". Relacjonuję to Marii, ale ta jest niewzruszona, mówi, że klamka zapadła i żebym siadał, bo *tempusfugit*. Na środku pokoju leży karton z narysowanymi cyframi i literami, krzyżem i talerzem ze strzałką. Obok pali się świeca.

– Nie boisz się, że przylepią się do ciebie duszki astralne? – spytałem ją.

– Nie – popatrzyła na mnie, jak na leszcza. – Już się jakieś przylepiły, jeden chuj więc.

Zgodnie ze wskazówkami, które przeczytaliśmy, odmówiliśmy modlitwę za zmarłych. Ja modliłem się za Zosię, Maryśka za Kurta Cobaina. Potem wypowiedzieliśmy na głos formułkę przywołującą ducha Kafki:

– Duchu Kafki przybądź i odpowiedz nam na pytania.

Jak to mówiliśmy unisono, wyobraziłem sobie, co – gdyby to zobaczyli – pomyśleliby sobie uczniowie ze szkoły, w której uczę. Śmialiby się do rozpuku ze swojego durnego nauczyciela. Czekaliśmy, aż talerzyk drgnie, ale coś nie chciał drgnąć. Minęła minuta, popatrzyłem na rozświetloną blaskiem świecy, skupioną twarz Maryni i zacząłem prychać, bo złapała mnie głupawka. Ta popatrzyła na mnie groźnie i rozkazała siedzieć cicho.

– Maryśka, to głupie – powiedziałem.

– Cicho – położyła palec na ustach. – Coś czuję.

– Swąd rajtuz chyba – odpowiedziałem jej rozluźniony już zupełnie. – Może Kafka już poszedł do nieba. Prawie sto lat po śmierci odpokutował grzechy – dodałem, wstając z podłogi.

Maryśka milczała. Patrzyła w spalający się knot świecy.

– Czekaj – powiedziałem. – Zdejmę to zdjęcie gadającego Kafki ze ściany, może tak będzie łatwiej go zawołać.

Podszedłem do ściany, z której patrzy Kafka. Zdjęcie to jest ostatnim znanym zdjęciem pisarza, kiedy ten miał czterdzieści lat. Jak się odzywał, słyszałem tylko jego męski głos. W sumie równie dobrze mogła mówić do mnie ściana. Nigdy też nie przyszło mi do głowy, dlaczego mówi po polsku, a nie po niemiecku. Marcin, syn Zosi, był Polakiem, logiczne więc, że umiał mówić po polsku. Z drugiej strony ciekawe jest, jak to jest, że dorósł po śmierci. Jak go wyśniłem w tych krzakach na żwirowisku koło Koźmic, mógł mieć z dziesięć, może jedenaście lat. Ciału przez jakiś czas po śmierci rosną włosy i paznokcie, może być, że to, co poza ciałem też rośnie przez jakiś czas. Albo po prostu zmienia powłokę na inną. Pytanie, po co powłoka, skoro taka ona wadliwa? Czy ewolucja nie powinna była jej zlikwidować, jak wszystko to, co w żywych istotach pośledniejsze?

Postawiłem zdjęcie Kafki na podłodze i znów się zaczęliśmy modlić, by jego duch przyszedł.

– Duchu Franza Kafki, przyjdź – powiedzieliśmy.

Ale byliśmy sami na sam z ciszą.

Adam Kaczanowski

Urodził się w 1976 roku. Raczej pisarz, trochę performer. Człowiek-małpa, Calineczka, klaun, laureat Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius, nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia. Autor dziesięciu książek z wierszami i czterech z prozą. Poznaniak, mieszka w Warszawie.

Powieść w odcinkach. Postać Małego Nemo stworzył WinosorMcCay.
Poprzednie odcinki:
https://kaczanowski.wordpress.com/2009/08/15/1/

Nowy Slumberland

[101] Mały Nemo nie wiedział, dokąd idzie, ale nie martwiło go to, pomyślał po prostu: „pójdę tam, gdzie mnie nogi poniosą". Trochę zaniepokoiło go natomiast, gdy zorientował się, że nie widać jego nóg. Przemieszczał się, czuł, że robi krok za krokiem, ale jego nogi były niewidzialne. Przyspieszył, podskoczył, zwolnił, znów podskoczył – a więc mógł przyspieszyć, podskoczyć, zwolnić i znów podskoczyć. Zatrzymał się przy ścianie kamienicy i kopnął ją. Coś zaswędziało go tam na dole. Kopnął jeszcze raz, drugi – prawa noga zaczęła się pojawiać, na początku przezroczysta ledwo widoczna, jednak po kolejnych silnych kopnięciach w ścianę wyłoniła się w pełnej okazałości, razem z butem i nogawką. To samo zrobił z lewą. Kopiąc w mur, odsłonił ją całą. Niestety nogi, które było teraz widać w całej okazałości, odmówiły posłuszeństwa. Chciał zrobić krok, ale nie mógł. Chciał podskoczyć, ale nie dał rady. Nie chodziły, piekielnie natomiast go swędziały. Drapiąc się w prawą nogę, zauważył, że ta z powrotem znika. Zrozumiał, że tak to działa – drapiąc, sprawił, że nogi na powrót zniknęły, ale też i z powrotem zaczęły go słuchać. Postanowił w pełni je wykorzystać. Zrobił najmniejsze możliwe kroki – tip-topy, i największe, jakie dał radę, ogromne susy. Znowu pomyślał: „pójdę tam, gdzie mnie poniosą". Niestety, na jego drodze pojawiły się małe, bardzo szybko biegające dzieci. Chyba dopiero co nauczyły się biegać. Co chwilę wbiegały mu pod nogi, a każde z nimi zderzenie odsłaniało a to kawałek kolana, łydki czy stopy. Po chwili stał znowu: z widocznymi nogami, ale kompletnie unieruchomiony. Gdyby nie psy, stałby tak w nieskończoność. Pierwszy podszedł do niego bardzo brudny pudel, osikał mu prawą nogę i ta częściowo zniknęła. Owczarek niemiecki osikał lewą. Mops prawą. Jamnik lewą. Nogi zniknęły, a Mały Nemo mógł ruszyć dalej. Wtedy na jego drodze stanęli policjanci. Jeden z nich miał bardzo chude, niezwykle długie nogi. Drugi nogi miał krótkie, wyglądało to tak, jakby do stóp miał od razu przytwierdzone kolana, które łączyły się bezpośrednio z jego podbrzuszem. Zapytali, dokąd zmierza. Tam, gdzie mnie nogi poniosą, odpowiedział. Tam nie wolno, odpowiedzieli zgodnym chórem, a Mały Nemo nagle zauważył, że zamiast na nogach, stoi na dwóch masywnych hydrantach. Nie dało się na nich iść, o nie. Policjanci chyba mu nawet współczuli, bo gdy poprosił o pomoc, wyciągnęli swoje pałki i zaczęli nimi uderzać w hydranty. Pod wpływem uderzeń, zmieniły się one w poduszki.

Nie dało się na nich iść, ale bardzo wygodnie można było na nich siedzieć. Funkcjonariusze zapytali, czy są mu do czegoś jeszcze potrzebni. Zaprzeczył, bo uważał, że i tak wiele im już zawdzięcza. Szczególnie, że właśnie pojawiły się mrówki, podniosły poduszki i ruszyły w dalszą drogę. Pomyślał: „pójdę tam, gdzie mnie mrówki poniosą" i poczuł, że w końcu jest szczęśliwy.

[102] Mały Nemo trafił na plac wypełniony ludźmi. Byli podzieleni na dwie grupy, po prawej stali sprzedający – w żółtych bejsbolówkach, po lewej zgromadzeni byli kupujący – łysi i zakatarzeni. Pomyślał, że sprzeda swój zegarek i kupi za niego rakietkę do ping-ponga. Gdy jednak zdjął zegarek z ręki, ludzie rzucili się na siebie i zaczęli nawzajem tłuc po głowach. Było już za późno, żeby się wycofać. Stał dokładnie pośrodku placu i co chwila obrywał łokciem lub zagubioną pięścią. Mały Nemo postanowił więc poczekać spokojnie na rozwój wypadków. Uderzenia nie były jakoś szczególnie bolesne, zdziwiło go natomiast, że sprzedający i kupujący już właściwie nie tłuką się między sobą, tylko uderzają w niego. Widocznie tak musi być, uznał. Urabiają mnie. Niektórzy kopali, inni bili w brzuch, kolejni uderzali w niego głową, jak jakieś wściekłe dzięcioły. Poczuł się jak rzeźba w rękach artysty. Wyjdę z tego jako zupełnie nowy człowiek, pomyślał, nie miał jednak racji. Uderzenia tłumu uformowały go w komodę. Chyba całkiem ładną komodę. Sprzedający i kupujący uspokoili się na chwilę, zaczęli oglądać z wszystkich stron komodę Mały Nemo. Po chwili przeszli do targowania. Każdy proponował inną cenę. Mały Nemo w końcu poczuł złość. Teraz on bił, dawał im potężne ciosy swoimi dębowymi szufladami. Kupujący i sprzedający okazali się wyjątkowo kruchymi ludźmi. Szybko odpadały im głowy, łamały kręgosłupy. Mały Nemo postanowił pozostawić przy życiu tylko jednego kupującego. Całkiem niepozornego, łysego, zakatarzonego starszego pana.

– Możesz zaproponować swoją cenę – Mały Nemo zwrócił się do niego łagodnym tonem.

– Nie mam pieniędzy – odpowiedział łysy kupujący.

– To dlaczego jesteś kupującym? – zdziwił się Nemo.

– Taki już się urodziłem. – Kupujący wzruszył bezradnie ramionami.

Mały Nemo zostawił go. Ruszył przed siebie, ciesząc się, że jest pierwszą chodzącą komodą na świecie.

Tymoteusz Skiba

Absolwent Filologii Polskiej i Kulturoznawstwa na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Gdańskiego. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół literatury międzywojennej oraz science fiction. Członek Pracowni Schulzowskiej, pracownik Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia. Publikował opowiadania w „Schulz/Forum", „Blizie" oraz „Czasie Kultury".

CZŁOWIEK ENCYKLOPEDIA

Bernard Bucior nadział lśniący fragment boczku na widelec i skórką od chleba wytarł resztki jajecznicy z talerza. Przeżuwszy pospiesznie ostatni kęs śniadania, wstał z krzesła, chwycił pękatą skórzaną walizkę i kubek kawy. Stojąc obok zlewu, wlewał w siebie rozpuszczalną z cukrem. Patrzył jednocześnie na zegarek, który wysunął się spod mankietu marynarki, kiedy podniósł rękę z teczką na wysokość oczu.

– O kurwa… – niemal się zakrztusił, kiedy zobaczył czerwone pierścienie na ekranie zegarka. Najwidoczniej w ciągu ostatniego tygodnia jego współczynnik D poszybował do stratosfery. Będzie dobrze – myślał ocierając kawę z brody – będzie dobrze... Dziś trochę przesadził, ale jutro zje jajka bez boczku, wypije kawę bez cukru i będzie kurwa dobrze.

– Lecę kochanie! – krzyknął w głąb mieszkania i włożył kubek do sterylnie czystego zlewu. Wychodząc, spojrzał w lustro. Na dokładnie ogolonej twarzy coś się przelewało. I nie chodziło tu o wypłowiałe włosy układające się w szare dostojne fale, jakich pozazdrościć mógłby mu sam dyrektor filharmonii imperialnej, ani nawet o tłuszcz, którym zarósł przez ostatnie lata. Od czubka głowy, przez oczy i dziurki w nosie, aż po usta i potrójny podbródek przepływał strumień marnego życia, które marynowało się w tym ciele od pięćdziesięciu z górą lat. Nikt nie zrobił z niego użytku, poza kilkoma grzybami z gromady *fungi imperfecti*, a termin przydatności nieubłaganie się skracał.

Spojrzał w lustro i zapiął ciemnozieloną marynarkę, która ciasno opięła jego brzuch. Jeden z guzików zaczął drżeć i pocić się z wysiłku.

– Jesteś ważny! – powiedział bez przekonania. Zegarek zawibrował mu na ręku. – Kurwa jego mać, kredyt sformatowany, niech go odsetki zgniotą! – puścił wiązankę i spojrzał na ekran. Czerwony pierścień już niemal zjadał własny ogon. Po cholerę wpatrywał się tak długo w to lustro?

Chwycił kluczyki i wybiegł z domu. Do bagażnika wrzucił gruby ciężki neseser, w którym trzymał swoje zawodowe akcesoria włącznie ze śniadaniem – po kiego kredyta brał kanapkę z masłem, szynką i pomidorem, skoro mógł wziąć z margaryną i ogórkiem? Tak, ogórki niemal nie wpływały na współczynnik D, za to pomidor malinowy o tej porze roku powiększał Dług Osobisty o jakieś pięć czy może nawet sześć punktów…

Czekał go kolejny dzień bezmyślnego życia i kolejne dziesięć godzin idiotycznej pracy. Pracy tak bezsensownej, że już dawno powinien przestać wierzyć w jakikolwiek sens czegokolwiek. Ale musiał pracować niezależnie od poziomu absurdu. Tak jak każdy obywatel tego kraju.

Niecałą godzinę później Bernard Bucior wszedł do biura Imperial Biograms.

– Serwus! – rzucił rubasznie do Dawida Tossa, którego minął na korytarzu. Toss miał niebieską marynarkę, więc musiał pracować w dziale biografików. Była to specjalizacja uważana w branży za najbardziej prestiżową, ciesząca się w dodatku największym uznaniem społecznym. Graficy w świecie biogramistyki odgrywali tę samą rolę co projektanci w świecie mody. To ich wizje były podstawą tego biznesu, paliwem tej ogromnej i rozległej maszyny do zaciągania zobowiązań finansowych. Ciemna zieleń, w którą odziany był Bernard, była zarezerwowana dla komiwojażerów, a więc dla tych stojących najniżej w hierarchii firmy. Nie chodzi nawet o to, że mniej zarabiali, ani nawet o to, że powszechnie uważano ich za pasożytów, którzy wykorzystują twórczy wysiłek innych działów. Po prostu nikt w korporacji nie szanował komiwojażerów. Powszechnie sądzono, iż jedynym naprawdę wyczuwalnym efektem ich pracy są przepocone pod pachami marynarki i wilgotne skarpetki. Była to oczywiście opinia krzywdząca. Ich praca była równie bezsensowna jak wszystkich wychuchanych i zmanierowanych pseudoartystów z tej nieludzkiej branży. Zresztą ciemnozieloni nie byli jakoś szczególnie naznaczeni. Konstrukcja tego piekiełka była szkatułkowa. Pracownicy Imperial Biograms nienawidzili swoich konkurentów z World Encyclopedia czy Great Life Company. Z kolei wszystkie działy firmy nienawidziły się wzajemnie i knuły przeciwko sobie. Wewnątrz działów panowała natomiast taka konkurencja, że donosy i podkładanie świń szerzyły się jak egipskie plagi. Jedyną wspólną wartością biogramistyków, wokół której niekiedy się jednoczono, była solidarna nienawiść i pogarda dla wszystkich osób spoza branży – zwłaszcza dla klientów.

– Cześć Berni – w tonie Tossa było coś takiego, co kazało Bernardowi się zatrzymać.

– Co?

– Nic, po prostu zastanawiam się, co tu robisz?

– A niech cię odsetki pochłoną! – Bernard uśmiechnął się porozumiewawczo, uznając, że mężczyzna robi sobie żarty. – Przyszedłem do pracy, tak samo jak ty.

– Nie wchodziłeś w nocy na pocztę? – Dawid Toss również się uśmiechnął, ale patrzył na rozmówcę przenikliwie, jakby ten był preparatem anatomicznym, nad którym pracował Luigi Galvani. Bernard od dawna planował zakup tego przekaźnika, który wklejałby mu powiadomienia o służbowych e-mailach wprost do treści snów, ale to oznaczałoby kolejny kredyt. A miał ich dostatecznie dużo. Same raty za świeżą pościel i poduszki wybrane przez żonę mogłyby przyprawić niejednego krezusa o zawał serca. Jednak nie mógł tego powiedzieć Dawidowi, który nosił niebieską marynarkę biografików. Skompromitowałby siebie i cały dział, utwierdzając zarazem stereotyp biednych, nieporadnych komiwojażerów.

– Słuchaj no, nie miałem do tego głowy. Kończyłem wczoraj różne zlecenia, do nocy jeździłem po mieście, wiesz jak jest – wymyślił na poczekaniu. – A co się do cholery stało?

– Na świętą encyklopedię, na jakim ty świecie żyjesz? Będą cięcia, Berni. W waszym dziale. Trzydzieści procent wyląduje na bruku – Dawid mówił z przejęciem, ale i z satysfakcją. Berni Bucior patrzył na niego z rosnącym przerażeniem.

– Ale dobrze, że miałeś te nocne zlecenia, to może nie jesteś tak mocno w tyle. Cały twój dział od bladego świtu penetruje miasto w poszukiwaniu klientów.

– To, to znaczy… chcesz mi powiedzieć, że… że…?

– Wylecą ci, którzy sprzedadzą najmniej. Oczywiście – Dawid uśmiechnął się serdecznie. – A znasz lepszy sposób?

***

Joe Kalkstein zwlókł się z łóżka około południa. Leżałby dłużej wpatrując się w sufit, jednak ból pleców był już nie do wytrzymania. Nie miał żadnych planów czy umówionych spotkań, więc zrezygnował z porannej toalety. Do łazienki mógł go zaciągnąć jedynie pęcherz. Wyjął z szafki noodle instant, znane niegdyś pod nazwą chińskiej zupki, i wstawił wodę do gotowania. Zegarek na ręce zapiszczał. Oba pierścienie – czerwony D i zielony K – były martwe. Dla takich jak on rząd przewidział, na szczęście, systemowe wsparcie, tak zwaną tarczę anty-D. W ramach tej niskooprocentowanej szczodrobliwości mógł pobrać do półtora litra wody dziennie, do kilkunastu kilowatominut energii oraz szeroką gamę suchego prowiantu. Był to tak zwany „Dobry Kredyt” skierowany do osób „tymczasowo

pozbawionych zdolności K". Obejmował on także ryczałt za powietrze, które każdy mieszkaniec Imperium musiał opłacać. Oczywiście prawo nie pozwalało na odcięcie powietrza, ale wiadomo, że i takie sytuacje się niekiedy zdarzały. Do sumy kredytu doliczano także opłatę za zegarek, ale to były jakieś procenciki, skoro każdy musiał go bezwzględnie posiadać, no i za sieć – choć ta teoretycznie była bezpłatna. Imperium szczyciło się tym, wdrożonym kilka lat temu, programem bezpłatnego internetu w swoich propagandowych materiałach. Można było w nich zobaczyć szczęśliwe rodziny, zachwyconych emerytów i uradowane sieroty – których los odmienił się dzięki rządowemu programowi „Dobra Sieć". Niezwykła wspaniałomyślność w czasach, w których na wszystko trzeba brać kredyt, nawet na wodę i powietrze.

Joe wiedział jednak, że koszty sieci były skrzętnie poukrywane w różnych kredytach, odsetkach, naliczanych zaliczkach i innych drakońskich opłatach. W końcu do ubiegłego czwartku był wybitnym programistą w firmie PolWatch, zajmującej się produkcją elektronicznych czasomierzy dla wszystkich mieszkańców Imperium. Dzięki swojej pracy znał nie tylko mechanizm działania zegarka. Miał również dostęp do wielu informacji, które były ukrywane przed społeczeństwem. On sam pracował w wydziale WeWatchU, którego głównym zadaniem była produkcja oraz wdrażanie software'ów śledzących czy też zbierających dane. Oprogramowanie to było zazwyczaj ukrywane w innych aplikacjach, pozostając całkowicie niewidocznym dla użytkownika.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że funkcja pokazywania czasu w produktach PolWatch wcale nie jest najistotniejsza. Większość domyślała się, że jest to także narzędzie inwigilacji. Prawo nie nakazywało noszenia zegarka, co podkreślano zawsze w rozmowach z zagranicznymi dziennikarzami, więc teoretycznie można było go zostawiać w domu. A jednak samo wyjście z mieszkania mogłoby nastręczać trudności lekkomyślnemu śmiałkowi, który odrzuciłby PolWatcha w kąt. Bez zegarka człowiek był wyrzucony z obiegu społeczno-kulturowego, nie mógł korzystać z żadnych usług ani z transportu miejskiego, nie mógł wchodzić do sklepów, kin, restauracji czy nawet publicznych toalet. Były ku temu stosowne zabezpieczenia. Bez wzięcia kredytu – a jego wysokość i przynależność precyzyjnie określał osobisty zegarek kredytobiorcy – nie można było w zasadzie niczego sensownego przedsięwziąć.

Teoretycznie osoba bez zegarka na ręku nie mogła korzystać nawet z chodników czy dróg miejskich – gdyż w związku z ich użytkowaniem, co zawsze rejestrowało urządze-

nie, należało zaciągnąć pożyczkę w określonej wysokości. Dokładna kwota kredytu za użytkowanie powierzchni spacerowych nigdy nie była znana przed jego zaciągnięciem, gdyż wpływało na nią wiele zmiennych, takich jak: długość trasy, stan techniczny chodnika, tempo marszu, liczba kroków, poziom tłoku chodnikowego, a przede wszystkim stawka określona przez emdedeizm, to jest miejskiego dystrybutora dróg i zieleni miejskiej. Oczywiście były od tego wyjątki. Niektórzy brali w leasing określone fragmenty ulic i chodników, którymi mieli zwyczaj chodzić. Było to przydatne rozwiązanie dla osób, które wiele razy dziennie pokonywały tę samą trasę, na przykład dla długokrążców i pożyczkołazów. Choć oczywiście były i złe strony leasingu chodnika. Zwykły kredytobiorca brał pożyczkę na każdy wykonany krok, natomiast leasingobiorca musiał spłacać umówioną kwotę nawet wówczas, gdy złamał nogę i w ogóle się nie poruszał. Ludzie z nogami w gipsie musieli płacić raty za spacerowanie – okrucieństwo systemu? Rzecznik partii bardzo radykalnie zdementował te insynuacje. Rząd, miłosierny obrońca społeczeństwa, w imieniu którego zlikwidowano wszelkie demokratyczne narzędzia opresji, nie może być okrutny już z samej definicji. A nieszczęśników z przetrąconymi stawami skokowymi nazwał „malowanymi kuternogami", którzy myślą, że jak „trochę postękają to raty same się spłacą".

Jednak jedynie nieliczni – tacy jak nieszczęśnik Joe – wiedzieli do jakich głębin sięgają nienasycone łapy systemu inwigilacyjnego. Z punktu widzenia ministerstwa kredytowizacji, rządu i całej partii, WWU było więc wydziałem absolutnie kluczowym dla polityki społecznej Imperium. Być może właśnie dlatego, a także oczywiście przez wzgląd na swój bezsensowny upór, Joe przed tygodniem dostał wymówienie.

Czekając na wrzątek, wyjrzał przez okno i zobaczył wielkie mrowisko, z którego został wypluty. Miejsce, w którym każdy ma swoje ważne zadania i wielkie cele do zrealizowania. Każdy poza nim samym. Niby powinien czuć się z tym dobrze, ale czuł się beznadziejnie. Nie martwiło go samo zwolnienie z pracy czy utrata zdolności kredytowych, ale czuł po prostu, że życie na tym świecie nie ma sensu – bez znaczenia czy się ma pracę, czy nie. Zresztą niezależnie od zatrudnienia, posady i zakresu obowiązków, kredytu nie można było spłacić. Taka była podstawowa zasada rządząca gospodarką Imperium. Kredyty się zaciąga i spłaca przez całe życie, a na koniec umiera się tonąc w długach.

Wyjął kubek ze sterty naczyń wyrastającej ze zlewu, jakby grał w Jengę, wybierając w miarę możliwości najczystszy, to jest bez śladów pleśni. Nie mógł przecież marnować

limitu wody na mycie naczyń, skoro ledwo starczało na zaspokajanie pragnienia. Wsypał do niego trochę kawowych fusów, które zdobył dwa dni temu. Tak. Kawowych! Gdyż istniał jeszcze, dzięki Bogu, handel. Oczywiście całkowicie nielegalny, pozbawiony kontroli państwa kwitł na obrzeżach prawa, w miejscach niewidocznych z penthausów, w enklawach, do których nie sięgały macki wymiaru sprawiedliwości. Były to ostatnie bastiony wolnego handlu w całym Imperium, w których można było nabyć coś bezkredytowo. Nie chciało się wierzyć, że jeszcze kilkanaście lat temu, przed wielką zarazą i zmianami ustrojowymi, taki model handlu był powszechnie obowiązujący.

Współcześnie nikt de facto nie dostawał pensji, gdyż jej całość automatycznie była rozszarpywana przez wierzycieli. Człowiek rodził się z długiem i z długiem umierał. Podział na biednych i bogatych, musiał zostać przeformułowany. Byli tylko bardziej i mniej zadłużeni. Ci ostatni mogli oczywiście pozwolić sobie na więcej, ale zawsze istniało ryzyko utonięcia. Prawdopodobnie ci z samej góry, z najwyższych, najbardziej ekskluzywnych penthausów, nie mieli żadnych kredytów. Ale o nich krążyły jedynie legendy, które ciężko było zweryfikować. Mówiono na nich Koty. Niedosiężne nawet dla rządu i członków partii. To oni zatwierdzali najważniejsze decyzje w cieniu swoich gabinetów, które mieściły się ponoć na szczytowych piętrach Srebrnych wież. Nikt zresztą nie dementował żadnych plotek na ich temat, ani nie ścigał za ich rozpowszechnianie. Nawet w przypadkach bardzo złośliwych żartów i insynuacji organy władzy nie reagowały. Reżim miał tak silną pozycję, że nie przejmował się zdaniem własnych obywateli, traktując te zgryźliwości jak nieistotne bzyczenie muchy uwięzionej między szybami.

Więc choć nie istniała żadna legalna ani nielegalna waluta, to jednak handel nie umarł. Z pomocą przyszedł stary sprawdzony barter. Pierwotny system handlowy, wymyślony przed tysiącami laty, odzyskał wreszcie panowanie nad ukrytymi targowiskami, zakamuflowanymi bazarami, których asortyment i rozmach rósł z każdym rokiem, jakby w odpowiedzi na ślepnące starcze oczy reżimu. Przebywając wśród kupców i różnorodnej klienteli, mogąc zrobić coś nie uruchamiając przy tym procedury kredytowej, kupując produkty bez wibracji zegarka, oznaczającego wzrost współczynnika D (określanego potocznie jako współczynnik „bycia w Dupie") – miało się wrażenie przebywania w oazie. Prawdziwej oazie otoczonej z każdej strony nieprzebytą pustynią, ziemią wydrenowaną przez łapczywe lawinowe odsetki. I tylko tutaj Joe czuł się człowiekiem. Zwłaszcza gdy mógł skorzystać z najbardziej pociągających uciech oazy – handlu. Nie było to takie

proste, gdyż zawsze trzeba było mieć ze sobą coś interesującego na wymianę. I nigdy nie było wiadomo, co się za to „coś" otrzyma w zamian. Kiedyś poszedł na jeden z gdańskich targów z *Blaszanym bębenkiem*. Niektórzy patrzyli na książkę sceptycznie – w końcu od lat była na liście książek antyimperialnych – ale inni… niemal się nie pozabijali. Musiał wziąć samochód na minuty, aby przewieźć do domu rzeczy, które dostał za tę jedną książkę. Dwa dni temu z kolei wymienił stary otwieracz do piwa z trupią czaszką na małą puszkę kawy. Gdyby tak mieć do tego cukier i mleko. Jeśli miałby jeszcze jednego Grassa prawdopodobnie mógłby bez problemu wymienić go na pole trzciny cukrowej i zdrową krowę.

Oczywiście dla kogoś z aktywnym kredytem wiele towarów było dostępnych od ręki. Ale w jego sytuacji już nie. Dla obywatela chronionego rządową tarczą, żyjącego na łasce „Dobrego kredytu" kawa była rzadkim luksusem. Człowiek objęty opieką państwa szybko dochodził do wniosku, że lepiej pracować gdziekolwiek, niż zdychać po kawałku. Każdy, kto przebywał dłużej na łasce rządowych programów, prędzej czy później, wyskakiwał z okna w poszukiwaniu lepszych światów. Tak działało Imperium Rzeczpospolitej Polskiej. Twór, który wypoczwarzył się z chaosu mrocznych lat 20., gdy wirus tysiąclecia pogrążył świat w szaleństwie i recesji. Quasi-państwo, które nie było nawet bankiem. Stanowiło raczej spotworniałą postać parabanku, pozbawionego wszelkiej kontroli i hamulców bezpieczeństwa. Maszynka obliczona na drenaż społeczeństwa. Sokowirówka wyciskająca obywateli na wolnych obrotach, więzienie wykute w latach wielkiej zarazy, która okazała się równie zabójcza dla ludzi, co dla demokracji.

Zamieszał łyżką fusy w kubku i wziął mały łyczek kawy. Wyczuł drobiny zmielonych ziaren i kwaskowaty smak robusty, bogatej w kwasy organiczne i fenolowe. Otworzył książkę leżącą na stoliku, w miejscu gdzie tkwiła zakładka. *Kolonia karna*. Przerwa na kawkę – pomyślał i od razu humor mu się poprawił, choć w sumie nie powinien.

***

Podróżowanie to nierozłączna część pracy każdego komiwojażera. Bernard Bucior – obnośny encyklopedysta, który codziennie przemierzał Imperium w poszukiwaniu ludzi zainteresowanych produktami Imperial Biograms – podróżował samochodem. Potencjalni klienci byli typowani przez system, który miał dostęp do wszystkich informacji zbieranych przez zegarki. Teoretycznie więc Berni miał łatwe zadanie – wcisnąć towar

komuś, kto chciał go mieć. W praktyce wyglądało to zupełnie inaczej. System analizował dane według nieprecyzyjnych algorytmów, selekcjonował informacje, opierając się na sobie tylko znanych regułach i często się mylił, a Berni tracił czas. Zdarzały się jednak złote strzały. Kiedyś obłowił się trafiając na popijawę kadry zarządczej miasta. Sami ważniacy z dużymi zdolnościami kredytowymi. Po pijaku licytowali się na biografie, wymyślając na poczekaniu coraz bardziej ekscentryczne i niedorzeczne osiągnięcia, które Berni skrupulatnie nanosił na formularze zgłoszeniowe. Jeszcze nigdy nie sprzedał tylu pełnych pakietów naraz.

Jednak ostatnio dynamika wzrostu przychodów branży biogramistycznej znacznie zwolniła. Wiele firm odnotowało spadki i straty. I nie chodziło nawet o to, że nikt nie chciał biogramu klasy premium, ale że – to doprawdy nie mieściło mu się w głowie – ludzie w ogóle nie chcieli być w encyklopedii osobistości Imperium Victoria Res Publica Poloniae (IVRP).

Ciężko byłoby Berniemu porzucić obecny styl życia, który pozwalał mu na spłacanie wielu kredytów jednocześnie. Ale tak naprawdę już teraz miał problemy z płynnością kredytową. Ich rodzinę pożerały wygodne mikroraty opakowane w piękne pudełka, ławice sympatycznych pożyczek rozszarpujące go jak szarańcza. Żona, dzieci, dom, piękne meble, pies – podczas recesji to wszystko windowało współczynnik D do granic spłacalności. Berni spadał więc w otchłań razem z akcjami Imperial Biograms.

W każdym biznesie, prędzej czy później, następuje tąpnięcie. Rynek chwilowo się nasycił i znudził biogramistyką, a on właśnie teraz musiał sprzedać jak najwięcej. Od tego zależała jego przyszłość. Potrzebował lukratywnego kontraktu od jakichś małostkowych skurwysynów srających zdolnościami K. Dlatego jadąc samochodem przekalibrował wyszukiwarkę na osoby związane z obozem władzy. Nie chodziło oczywiście o samych polityków – do tych nie miał dostępu – ale tych aspirujących i niedocenionych, tych którzy chcieli zwrócić na siebie uwagę. Marzył mu się Zastępca Drugiego Sekretarza Instytutu ds. Pobocznych, Pełnomocnik Wicedyrektora Biura Interesów Nieistotnych, czy chociażby pełniący obowiązki Asystenta Kierowcy Drugiego Szczebla Zastępcy Rzecznika Przedstawiciela Wiceministra Spraw Peryferyjnych Bez Teki. Niestety tych spragnionych władzy i uznania nieudaczników można było spotkać najczęściej w sercu miasta, w okolicach gmachu imperialnego z przyległościami pogrążonymi w wiecznym i niekończącym się korku ulicznym.

Siedział w swoim Oplu Spectralu, bezsensownie wpatrując się w pojazdy toczące się przed nim. Samochód był na szczęście służbowy, ale tylko i wyłącznie samochód. Muzyka płynąca z radia była na kredyt, benzyna oczywiście również, podobnie jak wszelkie akcesoria rozrywkowe i eksploatacyjne. Berni wyłączył radio, nie patrzył w lusterka, nie używał świateł, wycieraczek, płynu do spryskiwaczy, ani nawiewu. Mimo to czerwony wąż na tarczy jego zegarka nieubłaganie dążył do kolistej pełni. Raty za benzynę dawały o sobie znać, ale także wysokooprocentowane, w tej części miasta, ulice. Co z tego, że zakorkowane. Trasa premium, dla ludzi premium, miała także odsetki w skali premium.

Ruch stanął na dobre. Chciało mu się płakać. Nie wiedział co robić. Nie mógł wytrzymać tego bezsensownego siedzenia w samochodzie będącym zakamuflowanym punktem pożyczkowym. Wkurzony wjechał na chodnik, wyłączył silnik i wyskoczył z pojazdu. Odetchnął z ulgą. Uniezależnił się chwilowo od automatycznie naliczanych kredytów drogowych. Musiał teraz znaleźć jakiegoś nadzianego frajera z kompleksami. Wyjął walizkę, trzasnął klapą bagażnika i zamknął samochód. Na ręce poczuł wibracje. Zdziwiony popatrzył na zegarek. No tak kurwa, oczywiście – odsetki za parkowanie. Zniesmaczony zrobił krok w stronę wielkiego przeszklonego wieżowca, a zegarek znowu dał o sobie znać. Właśnie zaciągnął kredyt za użytkowanie powierzchni spacerowych.

Bernard oprzytomniał. Nie mógł tak lekkomyślnie przechadzać się po mieście, jakby był 10 maja. Tego dnia, podczas dorocznego święta rewolucji imperialnej, można było korzystać z pieszego transportu całkowicie za darmo. Dzięki tej prostej zagrywce ekonomicznej, reżimowe święto, organizowane w rocznicę obalenia konstytucji i krwawej pacyfikacji społecznych protestów, przyciągało tłumy gapiów. Berni wyciągnął z kieszeni mapę Googla, w którą miał wgranego clientsearcha opracowanego przez amerykańskich appologów, specjalnie dla Imperial Biograms. Wyświetlił mapę na siatkówce lewego oka i zaczął szukać potencjalnych klientów. Do dzielnicy deprawacji miał jeszcze spory kawałek. Musiał się więc poruszać jak bierki pod ręką arcymistrza szachowego, który nadaje ruchowi swych figur ukrytych, głęboko przemyślanych znaczeń, prowadzących do ostatecznego zwycięstwa. Większość wytypowanych przez system klientów musiał odrzucić ze względów logistycznych lub merytorycznych. Nie interesowały go małe zlecenia i krótkie notki biograficzne. Szukał kogoś kto miał duże ambicje – co najmniej na Nobla.

Jedna propozycja szczególnie go zaciekawiła. Mężczyzna po trzydziestce zalogowany w Silver Towers. Miejsce zatrudnienia: PolWatch, wydział WeWatchU. Wysokie kwalifikacje i niziutki prestiż. Szara eminencja, z dostępem do informacji i dobrą pensją – ale jednak urzędas i sługus, którego ambicje są z pewnością wyższe niż wyrobnicza harówa na jednym z wielu etatów. Stanowisko odpowiedzialne, wymagające rzadkich umiejętności, a zarazem pozbawione perspektyw. Ambitny, niedoceniany i lekceważony…

To mógł być strzał w dziesiątkę! W dodatku Srebrne drapacze chmur leżały na wytyczonej trasie, wiodącej do krainy pełnej kredytobiorców.

***

Zegarek na ręku Joego zawibrował inaczej niż zwykle. Miał połączenie przychodzące. Bernard Bucior z Imperial Biograms. Odebrał instynktownie, choć od razu tego pożałował. Przecież nie miał ani ochoty, ani zdolności kredytowych, aby rozmawiać z obnośnymi handlarzami biogramów.

– Słucham – powiedział zniechęcony.

– Mam tylko jedno pytanie szanowny panie. Czy już jako dziecko marzył pan, aby znaleźć się w encyklopedii? Otóż Panie Kalkstein, te marzenia mogą się dzisiaj spełnić! Specjalnie dla pana przygotowaliśmy…

– Przepraszam, że panu przerwę, ale…

Berni kontynuował swoją wypowiedź nie zważając zupełnie na wtrącenie Joego.

– …niezwykłą ofertę najlepszych biogramów. Są to same świeże i nowoczesne życiorysy, które wychodzą spod klawiszy naszych najbardziej uzdolnionych biogramistów. Niech mnie odsetki pochłoną, ale właśnie dzisiaj są one wszystkie dostępne w nowej lepszej cenie! Imperial Biograms, zawsze kładzie nacisk…

– Panie Bucior…

Słysząc znudzony ton głosu rozmówcy, Berni zaczął mówić jeszcze głośniej i szybciej. Chciał za wszelką cenę utrzymać rozmówcę na linii.

– …co zapewnia wysoką jakość, precyzję oraz indywidulane podejście do każdego klienta. Według rankingu „Imperial Journal” jesteśmy najbardziej wpływową marką na rynku życiorysów encyklopedycznych. Mogę pana zapewnić, że pana biografia od dziś

będzie w rękach najlepszych specjalistów w tej branży. Jesteśmy dumni z tego, że nasi klienci to ludzie o kryształowych życiorysach, wyszlifowanych do perfekcji, bez najmniejszych skaz…

– Słuchaj no, Bucior. Jestem zerem. Jestem nikim, rozumiesz?

– Panie Kalkstein! Ależ to tylko pozory! Chce pan być laureatem Nobla? Proszę powiedzieć tylko z jakiej dziedziny. Chce pan Oskara? Żaden problem! Proszę podać tylko serię i numer swojego Kredytu Osobistego i zaznaczyć odpowiednie kratki na naszym formularzu zgłoszeniowym.

– Bucior… jesteś pijawką, tylko z pozoru przypominającą człowieka. *Homo imperialis* – nowa pierdolona forma życia. Kiedy zniknął wirus pojawiło się robactwo. To ty i cała twoja korporacja, cały kraj, który wyhodował tę nędzną odmianę człowieka żywiącego się cudzą krwią. Wysysacie z człowieka ostatnie soki, a on już i tak od dawna leży martwy, skuty nieskończoną ilością kredytów i pożyczek.

– Wie pan co, rzeczywiście jest pan zerem, panie Kalkstein… ale przecież ten beznadziejny życiorys może stać się przeszłością, jak dawno odkupiony kredyt pierworodny. Właśnie dziś ma pan szansę, aby odmienić swój los!

– Pierdol się. Jadę na rządowej tarczy, Bucior. Moim szczytem luksusu jest cały krakers i pół szklanki wody.

– Nie masz współczynnika K i śmiesz mnie nazywać nędzną odmianą człowieka? – zaśmiał się triumfalnie, choć w głębi duszy poczuł ból. Miał coraz mniej czasu. – W takim razie żegnam.

– Ale wiesz co, Bucior? Masz rację. Jednak kupię ten biogram. Pełną opcję. Szlif brylantowy.

– Tak? A jak pan zamierzasz zapłacić?

– Oczywiście na Kredyt Osobisty. Pod zastaw organów.

– Szanowny panie, już przesyłam formularze! – niemal nie zachłysnął się własną śliną podczas wypowiadania tych słów. Kredyty udzielane pod zastaw własnych części ciała były najbardziej opłacalne z punktu widzenia firmy.

– Niech pan się nie kłopocze. Już do pana lecę.

Bernard Bucior stał na chodniku i kiwał z podziwem głową. Jednak to miał. Cały czas miał to coś. Wciąż miał ten gen kupiecki, zmysł cwaniactwa i kombinatorstwa, który tyle razy go ratował przed upadkiem. Nie pierwszy raz namówił spłukanego frajera do zaciągnięcia kolejnego kredytu – uuu… – wypuścił powietrze. To było jak narkotyk. Kolejna płotka wpadła w jego sieć. Popatrzył na zegarek. Joe Kalkstein udostępnił mu swoje położenie. Zbliżał się bardzo szybko.

***

Kubek po kawie stał pusty i zimny na parapecie. Książka leżała zamknięta. Joe bezwładnie opuścił rękę z zegarkiem. Myślał o maszynie do pisania na ludzkim ciele, nie mógł usunąć z pamięci obrazu knebla pokrytego filcem, którego niezliczona ilość osób ośliniała w agonii, wykopu do którego wpadały bezwładne zwłoki oraz sądów, które zawsze orzekały winę. Wszystko brzmiało niezwykle znajomo. Wszystko brzmiało realistycznie. Resztki dobrego humoru gdzieś prysły. Otworzył okno. Stanął na parapecie i popatrzył kilkadziesiąt pięter w dół. To był instynkt. Wystawił jedną nogę. A następnie drugą jakby wchodził pod prysznic.

krytyka

Karolina Kurando

Kulturoznawczyni, antropolożka kultury, autorka bloga krytycznoliterackiego books-silence.com, studentka na Wydziale Polonistyki UJ. Zajmuje się krytyką literacką, autobiograficznością i autobiografizmem w literaturze, pograniczem prozy i publicystyki oraz literaturą współczesną światową i literaturą polską po '89 roku.

„niestety umarł."

***Zbyt wiele zim minęło, żeby była wiosna*, F. Zawada**

Głowię się, czy przyznanie w pierwszym już zdaniu, że lektura nowej powieści Zawady utrzymuje mnie w przekonaniu, że autor jest jednym z najciekawszych literackich głosów na polskim rynku wydawniczym, nie będzie zbyt pospiesznym działaniem, dochodzę jednak do wniosku, że na tym polega piękno i brzydota pierwszych zdań, na tym polega ich specyfika — że nie tylko uchylają rąbka tajemnicy, ale tę tajemnicę po prostu zdradzają. Więc tak, Zawada utrzymuje poziom narzucony przez poprzednią powieść, bardzo dobrze odebraną przez krytykę, *Rozdeptałem czarnego kota przez przypadek* (2019), czyli historię Franciszka, chłopca wychowującego się w domu dziecka pod okiem zakonnic. Główny bohater znany jest z wyjątkowo ciętych uwag i często banalnych, lecz w jego mniemaniu, wzniosłych refleksji. Sukces Kota opiera się na wyjątkowym humorze i przebijającej przez ten humor goryczy, Franciszek świadom jest beznadziejności losu i bardzo chętnie o niej opowiada.

Przyznajmy sobie otwarcie: napisanie powieści operującej dobrym humorem stanowi wyzwanie. W *Rozdeptałem czarnego kota przez przypadek* udało się, w chociażby *Pod słońce było* (2014) — również. Zawada podejmuje je ponownie w *Zbyt wiele zim minęło, żeby była wiosna* (2021). Tu jednak humor jest bardziej stonowany, a autor operuje silniej groteską, jego postaci są przerysowane i chwilami wręcz karykaturalne. Jest mniej śmiesznie, ale bardziej absurdalnie. Z tego wszystkiego powstaje skorupa, która kryje krytykę — rzeczywistości, relacji międzyludzkich, hierarchii społecznych, Kościoła, wiary, wszystkiego. W tym tkwi sekret prozy Zawady, który chętnie zdradzam, w odpowiednim wyważeniu i przykrywaniu tak, żeby nie zostało zakryte. Można by oczywiście autorowi zarzucić, że stosowanie podobnych rozwiązań w kolejnych powieściach jest pójściem na łatwiznę, co wtedy jednak wytknęlibyśmy Jerzemu Pilchowi czy Tomaszowi Różyckiemu, którzy przez całe życie przepisywali i przepisują jedną i tę samą powieść, jeden i ten sam wiersz? Odbieram wypracowanie pewnych charakterystycznych narzędzi, strategii in plus, Zawada może i jest powtarzalny, nie jest jednak wtórny, czego wyżej wymienionym panom nie moglibyśmy odmówić. Styl autora *Rozdeptałem czarnego kota przez przypadek* jest charyzmatyczny, podobnie jak stosowane przez niego chwyty i zabiegi, wszystko to idzie rozpoznać po przeczytaniu kilku zdań, a według mnie, to

niemałe osiągnięcie, być rozpoznawanym literacko po kilku napisanych zdaniach. Dużo tutaj zachwytów, przejdźmy może w końcu do meritum.

Przesłanie *Zbyt wiele zim minęło*, *żeby była wiosna* jest takie, że to, czego najbardziej w życiu nienawidzimy, jest jednocześnie tym, bez czego kompletnie nie możemy żyć. Zawada przedstawia nam dwóch bohaterów, dziadka i wnuka, z czego to ten drugi jest narratorem *Zim*, i to z jego perspektywy poznajemy całą historię. Historię wyjątkowo porąbanej relacji tej dwójki, która zasadza się na wzajemnej nienawiści, uszczypliwości i jakiejś banalnej nici sympatii wymuszonej przez instytucję rodziny. Dziadek to, do czasu, młody bóg, kochający kobiety, zapatrzony w ukochany samochód, dbający wyłącznie o własne interesy. Wnuk to, zarówno jako dzieciak, jak i dorosły mężczyzna, wybitny ludzki niewypał, darmozjad, bez żadnych konkretnych zainteresowań i powodzenia w jakiejkolwiek, zawodowej czy intymnej, sferze życia. Królem życia jest ten starszy, Szczepan, który uosabia wszystko to, czego jego wnuk nienawidzi. A nienawidzi, bo tamten ma wszystko to, czego ten nie może mieć. Zawada bardzo sprytnie zestawia ze sobą te dwie postaci, trochę na zasadzie lustra, jeden uzupełnia drugiego, wnuk nie istnieje bez dziadka, dziadek bez wnuka, wzajemnie się w sobie odbijają i dostrzegają swoje braki. Szczepan jest jednym wielkim chodzącym kompleksem narratora, wnuk zaś obrazuje wszystkie lęki dziadka, jest bowiem słabym ogniwem społeczeństwa, jest leniwy, nie myśli o przyszłości, nie potrafi znaleźć sobie kobiety, stanowi najgorszy koszmar i zagrożenie dla męskiego ego dziadka, który w pewnym momencie podejmuje próby pomocy wnukowi, oczywiście daremne. To również, jak łatwo się domyślić, opowieść o różnicach pokoleniowych — pominięte zostaje „środkowe", przejściowe pokolenie, czyli rodzice głównego bohatera, którzy funkcjonują gdzieś w tle; jest to celowy zabieg, polegający na przedstawieniu wręcz skrajności (i związanych z nimi przerysowań, pamiętajmy w jakiej konwencji utrzymana jest cała powieść) pomiędzy realiami, w których dorastał Szczepan, a tymi, w których dorasta jego wnuk. „Po czterdziestym piątym już nic nie dostarczyło mu takich emocji. Seks, bicie wnuków i prześladowanie sąsiadów wypadały blado przy tym, co przeżył, wożąc bomby." — informuje nas w pewnym momencie narrator, który wielokrotnie będzie podkreślał wspomnienia Szczepana o wojnie. Dziadek, jako to starsze pokolenie, jest zdecydowany, działa i wie, jak działać. Kontrastowo ustawiony jest do niego wnuk, urodzony w latach siedemdziesiątych, zupełnie niepotrafiący okiełznać swojego życia. Szczepan jest wyrazisty, wnuk mdły. Szczepan

jest agresywny, narwany, zdolny do przesady. Wnuk — zrezygnowany, obojętny, wyzywany od najgorszych ze względu na swoją życiową niemoc.

Dzięki bylejakości głównego bohatera, Szczepan odznacza się swoją charyzmą i błyszczy, jak złoto, które zakosił synowi rodzonej córki.

I znowu, komizm postaci i wszystkie inne komizmy tego świata kryją nam odważne tezy stawiane przez Zawadę, który jest bacznym obserwatorem rzeczywistości i przemijalności. Autor nie boi się stereotypizować, być niepoprawnym religijnie, społecznie i słownie, łamać normy, generalnie momentami *Zbyt wiele zim minęło, żeby była wiosna* jest totalną jazdą po bandzie. Bohaterowie (obydwaj męscy) wygłaszają swoje racje dotyczące kobiet, narrator wiecznie wzdycha do boga, którego, jak podkreśla, nie ma, Zawada tym samym walczy naszymi przyzwyczajeniami z postawą, którą czujemy, że powinniśmy przyjąć.

Zimy to zabawna powieść, tyle że nie ma w niej nic śmiesznego. Zawada serwuje nam prostą do rozczytania, dobrze zrobioną prozę, gęstą od absurdu, inteligentną — inaczej o niej myśleć nie umiem. Jest u Zawady jakieś szaleństwo, jakaś zabawa, jest i twarda i nie do końca przyjazna rzeczywistość. I jest w tym wszystkim balans, i kolejna świetna powieść w dorobku.

Olga Rembielińska

Urodzona w 1989 roku, z wykształcenia etnolożka. Pracuje nad pierwszą książką poetycką. Publikowała w „Etnografii do kieszeni”, „Babińcu Literackim”, „Szajnie”. Jej wiersze znalazły się w antologiach pisma „Inter-” oraz „Babińca Literackiego”. Prowadzi fotomodelingowe konto na Instagramie: @olgarembielinska. Bardzo ceni kapitał kulturowy, który zbudowała sobie na słuchaniu 50 Centa, Seana Paula i innych raperów z końcówką „dogg” odtwarzanych w Winampie.

Lubrykant z maślaka

Recenzja *Seksu w wielkim lesie. Botanicznego przewodnika dla kochanków na łonie przyrody* Łukasza Łuczaja

Łukasz Łuczaj pracuje jako profesor biologii na Uniwersytecie Rzeszowskim i dotychczas znany był głównie z publikacji na temat dzikich roślin jadalnych (2002) i naturalnego gotowania (2013). W wydanym w Korporacji Ha!art eseju *Seks w wielkim lesie*... (2020) wykonał jednak pisarską woltę, co z kolei odbiło się głośnym echem w licznych środowiskach literackich.

Manuela Gretkowska uznała, że jego książka jest „orgazmiczna, łącząca praktykę z erudycją i wrażliwością", Marcin Fabjański z kolei dodał, że „zaczytasz się [w niej przyp. aut.] bez pamięci. A potem zechcesz wprowadzić w życie". Mnie natomiast, po lekturze Łuczaja przypomniała się „teoria suspensu". Według jej praktyków, wśród których byli m.in. Isabelle Allende czy Alfred Hitchcock, emocjonujące dzieło stawia na natychmiastowe doinformowanie widza bądź czytelnika, co będzie się dalej w nim działo. Musi mieć on wrażenie, że uczestniczy w fabule, w przeciwnym razie będzie co najwyżej zaskoczony, a rzecz się toczy o długotrwałe domniemywanie. Łukasz Łuczaj zaczyna hitchcockowską bombą pod stołem: „»Czy możesz mnie kiedyś zerżnąć, ale dopiero w lecie, nie teraz, zimą?«. Ja: »Dlaczego w lecie? Mogę cię zerżnąć teraz«". Następnie, nie schodzi już z tonu.

Książka ta, jest przede wszystkim odważną ekwilibrystyką językową. Powaga profesorskiego autorytetu przeplata się w niej z określeniami „wulgarnymi". Cipa, kutas, rżnąć, walić konia. Antagonizmy te powodują, że tabu seksualne zaczyna się przełamywać. Pojawia się refleksja, dlaczego jest tak silne? Dlaczego seks zepchnięty musi być do pornograficznego podziemia, bez specjalnej dla niego alternatywy? Łuczaj, jak sam twierdzi, postuluje powrót do naturalności, dzikości oraz radosnej seksualności. I pisze pozycję dla wszystkich. Bez skrępowania, bez tabu. Opisując wygląd wagin oraz penisów we wzwodzie szuka w roślinach wdzięcznych kompanów dla erotycznych zabaw oraz frywolnych smakowych uciech.

Seks w wielkim lesie... zaliczyć można do tytułów wywrotowych. Nieustanne napięcie między feminizmem a patriarchatem powoduje, że do książki z seksualną zawartością napisanej z perspektywy białego heteroseksualnego mężczyzny można podejść nieufnie.

Autorowi od razu da się zarzucić, że gloryfikuje przyjęte normy estetyczne dotyczące kobiecego wyglądu. Z drugiej jednak strony widać, że stara się uwzględnić również erotykę osób homoseksualnych. „Od XIX w. – na Hampstead Heath jest miejsce, gdzie już wtedy spotykali się geje, szukając ustronnych okolic nadających się do uprawiania seksu". Łuczaj sprawnie łączy wiedzę biologiczną z kontekstem kulturowym, udając się niekiedy aż do Starożytnej Grecji, badając mitologię pod kątem płodnych obrazów figlowania bogów, nimf oraz ludzi na kwietnych arkadyjskich łąkach. Innym razem wertuje XIX w. w poszukiwaniu „manifestów kontaktów ludzkiego ciała z trawą". Orgiazmiczność eseju ujawnia się w znajomości roślin u autora na tyle, że niepozorne maślaki urastają do rangi zmysłowego lubrykantu. W przypadku opisu seksu, przeestetyzowanie wychodzi Łuczajowi na dobre. Nie jest ani brudny, ani zezwierzęcony czy niemoralny. Jest niczym nieskrępowanym dążeniem do naturalnej relacji ze swoją cielesnością.

„Możesz ukochanej wetknąć we włosy lub cipkę gałązkę zawilca albo kwitnącej wiśni i zabrać ją w miejsce, gdzie zimowa wichura powaliła wielkiego, starego buka".

Przy ogólnym dobrym wrażeniu jakie wywołuje książka, pojawiły się w niej również fragmenty nieco niesmaczne czy wręcz grafomańskie: „Z miłości do łąk preferuję cipki lekko przystrzyżone. Te całkiem wydepilowane są jak zbyt często koszony trawnik. Te całkiem niekoszone są jak łąka zarośnięta nawłocią i pokrzywami" czy „Czułem jednak, jak wzywa mnie jej samicza natura. Jak wypina piersi i wykręca kosmyki włosów, których ma grzywę, jak koń".

Ciekawym motywem z innej już strony, jest łączenie przesłania antynatalistycznego z dendrofilią. Czy skierowanie zainteresowania seksualnego w stronę roślin i drzew, rzeczywiście może być odpowiedzią na przeludnienie i globalne ocieplenie z niego wynikających? Odpowiedzi na te pytania znajduję u Przemysława Piwowarczyka, za którym książkę odbieram „przede wszystkim jako zawadiacki manifest wolności. Pełno w niej zaczepek i szturchańców. Część z nich Łuczaj wymierza ciasnej wyobraźni seksualnej". Nie traktuję więc tych fragmentów dosłownie, a raczej jako interesujące ćwiczenia z myślenia z zakresu etyki, filozofii i ekologii.

Piwowarczyk dodaje ponadto, że esej Łuczaja wpisuje się w konwencję literatury sowizdrzalskiej. „Sowizdrzał to zarówno autor, jak i prowadzony przezeń literacki prota-

gonista, w obu rolach „sprytny wesołek i łotr nad łotry ośmieszający możnych i uczonych (…) tyle »krotochwilny i śmieszny«, co i plugawy". Podsumowując zatem, *Seks w wielkim lesie…* to książka, która z pewnością wywołuje efekt rozluźnienia naszych skostniałych, konserwatywnych sposobów postrzegania cielesności i seksu. Jest napisana w sposób erudycyjny i barwny, „znajdziemy między innymi fragmenty poezji Leśmiana, esencje książek Zbigniewa Nienackiego, trafi się też motyw użyty w »Serotoninie« Michela Houellebecqa czy motto z »Bestii stylu« Piera Paolo Pasoliniego", wzbogacimy swoją wiedzę o nazwy rzadkich gatunków roślin, pór ich kwitnienia czy geografii. Przebrnąć jednak trzeba przez część napisaną w konwencji erotomana-gawędziarza, a ta niekoniecznie może już przecież wszystkim przypaść do gustu.

Jakub Skurtys

Urodzony w 1989 roku, mieszka we Wrocławiu, doktorant na Wydziale Filologicznym UWr, krytyk; pisze głównie o poezji. Interesuje się historią awangardy, studiami nad codziennością oraz związkami literatury i ekonomii. Członek redakcji „Przerzutni”.

Oto słowo Momo

Trzysta cytryn do trzeciej potęgi tygrysa Marcina Podlaskiego to drugi debiut roku 2020 w „zaangażowanej" serii Ha!artu, po której zawsze wiele sobie obiecuję. Podlaski był jednym z laureatów Połowu w Biurze Literackim (2018), redagował „Rzyrador", obecnie studiuje językoznawstwo i chyba możemy go też bez większych zastrzeżeń uznać za członka KSP. Każda z tych informacji jest na swój sposób istotna: biurowe i połowowe lektury widać w tej poezji doskonale, choćby w samym sposobie myślenia o konstrukcji tomu, o jego długości i projektowanych czytelnikach. Podobnie widać też wpływ krakowskiej szkoły (choć wywodzi się Podlaski z Torunia, tam studiował i to z tamtejszymi dykcjami – Prankego czy Dalasińskiego – powinniśmy go raczej łączyć). W KSP ferment języków, nakierowanych na eksperyment, połączył się ze swoistą nadwrażliwością emocjonalną, którą czasem jeszcze nazywam liryzmem, ale która z klasyczną lirycznością ma już niewiele wspólnego. Chodzi raczej o różnorakie eksperymenty nad „ja" i funkcją niekonfesyjnego podmiotu w najnowszej poezji. Z kolei studia językoznawcze nad starocerkiewno-słowiańskim odsłoniły poecie nie tyle tradycję i tęsknotę za pięknem fraz Cyryla i Metodego, ile relatywizm językowych norm i konieczność ich nieustannego naruszania. I to chyba ta droga poprowadziła ostatecznie Podlaskiego do podjętego w *Trzystu cytrynach*… eksperymentu psychologicznego z językami schizofreników i schizofazją.

Jest to eksperyment ryzykowny z kilku powodów i zapewne autor zdaje sobie z tego sprawę, trudno więc bezkrytycznie podejść do jego debiutu. Po pierwsze, to wciąż pewien rodzaj uroszczenia, etycznie wątpliwego, bo jednak symulującego rzeczywistą chorobę (choć o samej schizofazji wiem niewiele). Jak twierdził Podlaski w jednej z rozmów: „Siadając do pisania tekstu przeznaczonego do *cytryn*, odpalam ten włącznik [natchnienia – J.S.] i staję się zupełnie inaczej percypującym świat człowiekiem. Staję się świadomym schizofrenikiem, odbieram rzeczywistość tak, jak osoba chora i wypowiadam się schizofatycznie jako podmiot dotknięty psychozą. Tworzenie wierszy do *cytryn* różni się diametralnie od całego mojego wcześniejszego pisania". Ani z tą metodą twórczą nie sympatyzuję, ani za bardzo nie wierzę w taką możliwość działania poety dzisiaj – w natchnienie jako stan świadomej schizofazji. Nie odbieram jednak Podlaskiemu prawa do symulowania tego języka, w taki sam sposób, jak język robotników symulował kiedyś Julian Kornhauser (choć żaden z niego robotnik), język ulicznych bab Miron Białoszew-

ski, a ostatnio rzekomą dawną polszczyznę pańsko-chłopską Radek Rak. Nie wydaje się też, żeby autor pragnął w jakiś sposób mówić w imieniu chorych czy przemawiać za nich, w ich obronie, więc kwestie etyczności schodzą nieco na drugi plan, ustępując właśnie technicznemu, językowemu eksperymentowi.

Istotniejsze ryzyko pojawia się w tym tomie w kontekście komunikatywności, kategorii problematycznej, niemodnej i przez niektórych w poezji najnowszej nielubianej, ale jednak kluczowej dla relacji poeta-czytelnik. Język schizofazji, który próbuje w tomie imitować Podlaski, nie jest językiem komunikacji, lecz ekspresji – jest w pełni zdominowany przez próby wyrażenia stanów podmiotu, z zupełnym pominięciem tych elementów, które składają się na efektywne porozumienie (np. prawidłowego identyfikowania rozmówcy, udrożnienia kanałów komunikacyjnych, zachowania koherencji i kohezji, itd.). Tymczasem z wierszem współczesnym jest przecież odwrotnie – nikt chyba nie twierdzi już w pełni poważnie, że ma on charakter głównie ekspresywny, że powinien w pierwszej kolejności wyrażać emocje lub ewokować metafizyczne doznania, nie zaś służyć skomplikowanej, intelektualno-emocjonalnej grze z racjonalnym przecież odbiorcą (to taka rada dla młodych poetów, którą powtarza się na każdych warsztatach – pamiętajcie, że nie piszecie już do szuflady, więc wasz tekst nie może zupełnie ignorować czytelnika). Być może jednak Podlaski ma nieco inną koncepcję wiersza, na co wskazywałyby jego ciągoty do tradycji młodopolskiej, ku Micińskiemu i Przybyszewskiemu. W tym wypadku nie chodzi wcale o tandetną symbolikę, ornamentacje językowe i dekadencki marazm (może trochę o muzyczność frazy, bo ta ma duże znaczenie w „Cytrynach…"), ale właśnie o ekspresywną, romantyczną jeszcze koncepcję języka, którą zawdzięczamy Schillerowi i Heglowi. „Ja" odkrywa siebie poprzez język, którego używa, za każdym razem od nowa, nie mogąc poprzestać na raz wypowiedzianej prawdzie. Samo dla siebie stanowi więc zagadkę, ale brak jej ostatecznego rozwiązania i gwałtowne uświadomienie sobie tego stanu, wzmaga u Podlaskiego paranoiczny charakter tych poszukiwań. I tutaj pojawia się pewien paradoks: bo przecież „ja" wcale nie odkrywa siebie, tylko jest skonstruowanym bohaterem lirycznym, który z samym autorem nie ma za wiele wspólnego. Przemierzamy więc drogę ekspresji umysłowości w fazie paranoidalnej, zarazem nie dowiadując się właściwie niczego o możliwościach językowych autora, o jego idiosynkrazjach i o potencjalnych kierunkach, w których mogłaby zmierzać ta poezja. Jest to więc eksperyment raczej zamykający, mający charakter jednorazowego, modernistycz-

nego projektu (być może z istotnymi konsekwencjami dla wiersza autora w przyszłości), niż coś, z czym można się lekturowo związać na dłużej.

Zaraz po natchnieniu, nadającym tekstowi kształt, rozpoczyna Podlaski cyzelowanie – długie i żmudne, bo sam blok podstawowych tekstów do *Trzystu cytryn…* miał już wiele wersji, redagowanych i komentowanych przez różnych poetów, krytyków i przyjaciół autora (czego możemy się dowiedzieć z wywiadów, ale też z kończącej tom noty odautorskiej). W pewnym sensie Podlaski patrzy na schizofazję właśnie jak językoznawca, a nie podmiot chorobowy – przeprowadza chłodną analizę tego, co się w tym języku dzieje i dokąd może nas zaprowadzić jego symulacja. I tu pojawia się element „zaangażowany społecznie", który połączyć możemy tak z praktyką autora w „Rzyradorze", jak i z samą serią Ha!artu. Choroba umysłu jest chorobą języka, ta zaś staje się chorobą rzeczywistości, która w znaczniej mierze składa się dzisiaj z dyskursów. Można by oczywiście powiedzieć, sięgając po Freuda, Lacana i dalej, aż do Guattariego, że Podlaski przypuszcza w ten sposób bezpardonowy atak na kapitalizm i na jego sposoby oddzielania rozsądku i szaleństwa oraz produktywnego zarządzania nimi. Ale chyba aż tak bezpardonowy ten atak nie jest. Powiedziałbym raczej, że ponad antysystemowe, polityczne ukierunkowanie psychiatrii wybija się tutaj inny problem, bardziej tradycyjny i mniej ideologiczny – relacji jednostki (ukonstytuowanego podmiotu) do rzeczywistości jako obiektu już na zawsze utraconego. To niemożność mimetyczna oraz brak jakichkolwiek pewnych, stabilnych wiązań między językiem, emocjami, spostrzeżeniami i światem zewnętrznym, prowadzi do rozchwiania, a potem zupełnego zaniku kategorii prawdy, kłamstwa i fikcji. *Trzysta cytryn…* zaprasza więc do świata bardzo nam współczesnego, ale pozbawionego racjonalnych hamulców, typowych dla pooświeceniowego umysłu. Na powrót mieszają się w nim porządki religijne i sekularne, demony i technologie, rap i kazanie, a magia i miecz to tyleż fantazja z piosenek metalowego zespołu, ile powracający w glorii św. Jerzy, który akurat zadziobał smoka.

Pamiętam doskonale, jak w jednym z numerów „Kontentu" Łukasz Żurek przejechał jak walec po zamieszczonym tam wierszu Podlaskiego „Wygładzanie", nazywając go – w ironicznym nawiązaniu do tytułu – poezją gładką, swoistym krytycznoliterackim samograjem, odpowiednio rozegranym warsztatowo, ale nie wnoszącym niczego do doświadczeń czytelnika. Wiersze z *Trzystu cytryn…* z pewnością gładkie już nie są. To zupełnie inna poetyka – formalnie i stylistycznie, bo w naśladowaniu schizofazji raz przypomina fu-

turystów, innym razem nawiedzone, bardziej radykalne, prorockie frazy Domagały-Jakucia (bez żadnych aluzji), a nawet wulgarno-erotyczne, postrimbaudowskie wojaczkizmy:

dano mi cynk z piekła dano mi

władzę nad czwartą częścią siebie

chciałem i to zabić chcę i to zabić

będę chciał zabić i to

tylko kwestia czasów

(*niepoczytne i niepoczytalne*)

Nie są to też utwory gładkie w strategiach konstruowania sensu, bo właściwie nie do końca wiadomo, dokąd chce nas Podlaski poprowadzić i jaka intencja stoi za tym eksperymentem. Nie są gładkie, bo stosują wcale nie tak popularną dziś lirykę maski – mówią zza wyraźnie skonstruowanego bohatera lirycznego, który jako podmiot rzeczywiście wypowiada się z wnętrza schizofazji, czytelnik zaś musi filtrować jego komunikaty przez dodatkowe sito, jakby mierzył się ze złym sobowtórem Pana Cogito.

Trzysta cytryn… to jednak kolejna odsłona sygnalizowanego przeze mnie już kilkukrotnie nowego katastrofizmu w naszej poezji – zglobalizowanego, zdyskursywizowanego, korzystającego z postsekularnej symboliki, żeby opisać zachodzącą wokół nas katastrofę nagiego, subsumowanego pod kapitał, prekarnego życia. Pytanie: czy ten kastastrofistyczny obłęd, który od teorii spiskowych płynnie przechodzi do zagłady wszechświata, a od profetycznych gromów przeskakuje do skatologicznego bełkotu [„(*powstań o panie wystąp przeciw niemu i powal go*) / mielą zwłoki boże to wszystko jest / m e t o d y c z n e / to przeraża ten ewidencyjny porządek zagłady”], to wyłącznie obłęd podmiotu lirycznego? Czy jego rozwój mamy więc śledzić tak, jak śledzimy losy McMurphy’ego w *Locie nad kukułczym gniazdem*, czy też z obłędu tego powinniśmy wyciągnąć pewne wnioski na temat współczesnej kondycji języka, podmiotu i świata?

W tym pierwszym przypadku byłoby to nie tylko postępujące szaleństwo, które przechodzi w prorocze tony, w jakieś samoutwierdzanie się podmiotu w jego dziejowej misji, ale przede wszystkim droga przypominająca trochę tę Tkaczyszyna-Dyckiego – do nadania samemu sobie nowego imienia, do rozpoznania się w figurze Szawła, a więc swo-

iste odwrócone objawienie. Ukonstytuowanie się podmiotu jest u Podlaskiego równoznaczne z unicestwieniem świata albo jego rychłą zagładą, tak jakby „ja" i „rzeczywistość" wzajemnie się odpychały. Tom ten chce zarazem uchodzić za swoisty wybrakowany, zaszumiony i pełen usterek zapis magnetofonowy z typowej sesji z pacjentem paranoidalnym. Sam nie jest jednak sesją terapeutyczną, tylko opowieścią o wieży Babel, zapisem katastrofy języka, który nie tylko zrywa połączenia fatyczne, ale też – wraz z osłabianą intencją ośrodka mówiącego – zatraca zdolność tworzenia lub nawet sugerowania sensu. Dlatego tak trudno wyciągnąć z *Trzystu cytryn…* jakiekolwiek wnioski na temat naszego świata, lub odnieść cały proces poetycki do nas samych. Te fragmenty, które zwykliśmy w poezji łączyć z orzekaniem o rzeczywistości albo z konstruowaniem płaszczyzny reprezentacji, u Podlaskiego są częścią maksymalnie zsubiektyzowanego monologu nieistniejącego przecież bohatera, poddanego laboratoryjnej obróbce.

Najstraszniejsze w tym tomie jest jednak chyba to – i to jest właśnie druga linia interpretacji – w jaki sposób do oscylującego wokół schizofrenicznego języka, sztucznie skonstruowanego podmiotu, docierają informacje i echa z naszego świata. Pewne zdania każdy z nas kojarzy, a przynajmniej z łatwością rozpozna charakterystyczne stapianie się nieprzystających do siebie dyskursów w codziennym monologu, w potoku słów, który nie może się zatrzymać ani ustabilizować: „widzi pan tamtych ostarbejtrów / oni robią te szosy tak żeby pękały", „ciało twoje żebro twoje tak zarządził pan bóg / który jest wirusem nuklearną bronią arcykapłanów / z pokolenia lewiego mówię prawdę tak pisze w piśmie", „ZŁY cieszy się ze swoich eko i homo zastępów / kiedy nie realizujemy PLANU ŻYCIA". Odnajdziemy je w natchnionych rozmowach ze znajomymi, w monologach z komunikacji miejskiej, w przypadkowych spotkaniach w sklepach i na forach pod artykułami z popularnych gazet, w prozie Andrzeja Pilipiuka i w esejach Grzegorza Brauna. Ten potoczysty bełkot, wspierany grozą i religijną profanacją, napędzany lękiem i zabezpieczający pusty, lękowy podmiot-profetę, znamy niestety nie tylko z filmowych przypadków paranoidalnej schizofrenii. Szaleństwo jest wokół nas i czasem zakłada racjonalne maski. Tych chyba boję się bardziej, niż creepypasty z Momo („LUDZIE NIECZYŚCI SPALĄ TESTAMENT / a po miłości bliźniego / zostaną liźnięcia // oto słowo momo / *best keep one eye open when you're sleeping"*). Jak napominał nas przed laty Szczepan Kopyt w nie mniej profetycznym, ale zupełnie inaczej wybrzmiewającym kazaniu: „bój się tylko samego strachu bo to stan w którym nie można żyć dłużej / tak jak w permanentnym stresie którym karmi się branża i brandzlują ci / których prawdą jest medium"

(*szpitale* z tomu *buch*). Podlaski nie stara się tego strachu oswoić ani pokonać. Próbuje za to nadać mu poetycki kształt.

rozmowy na stronie

Marcin Podlaski

Poeta, językoznawca, autor *trzystu cytryn do trzeciej potęgi tygrysa*. Jest ze Stępowa i w Krakowie.

TU, WŁAŚNIE TU, ZDEFINITUJ TYTUŁ

Rozmowa Patryka Zimnego z Marcinem Podlaskim

24.01.2021 w niedzielne popołudnie w Krakowie spotykamy się z Marcinem Podlaskim, językoznawcą i autorem niedawno wydanego przez Ha!art debiutu *trzysta cytryn do trzeciej potęgi tygrysa*, który objęliśmy matronatem. Marcin, na wstępie gratuluję.

Jesteśmy dzień po oficjalnej premierze. Jak wrażenia ze spotkania? Od 2018 roku jesteś członkiem Krakowskiej Szkoły Poezji. Są pierwsze opinie, może rady?

Cześć Patryk, witam Stronę Czynną.

Jestem bardzo zadowolony z prowadzenia Dawida Kujawy, wiele kwestii sam sobie rozjaśniłem a propos tej rozmowy, wiele mi uświadomiono, dało do myślenia, dostałem też rady na przyszłość - bardzo cenne, tu akurat od Dawida Mateusza - widać, że Krakowska Szkoła Poezji czuwa. Głównie chodzi o trochę wyższą spójność wywodu, dynamikę, tempo. To bardzo ważne w tym aspekcie, a u mnie tego za bardzo nie było, więc na przyszłość będę się starał trochę mniej rozwlekać, ale mam nadzieję, że spotkanie wyszło ok.

Zapytałbym o tytuł tomu, ale byłoby to za dalekie wybieganie przy fascynującym terenie. Wyjdzie w rozmowie. Zatem: co cię najbardziej interesuje w literaturze, w poezji? Po lekturze mam wrażenie, że język oraz jego niedoskonałe drogi.

Zgadza się, język i jego niedoskonałe drogi przede wszystkim. To jest to, co mnie zdecydowanie interesuje. Tak jak mówiłem wczoraj, występuję przeciwko normatywności językowej, interesują mnie wszelkie potknięcia, wszelkie błędy, wszelkie cechy powodujące, że ta wypowiedź jest w mniejszym stopniu zrozumiała. Natomiast jeśli chodzi o to, o co zapytałeś najpierw, czyli co mnie interesuje w poezji? Dla mnie przede wszystkim liczy się forma. Forma komunikatu. Uważam, że z tego właściwie wynika wszystko, tzn. dobór słów, dobór rytmu, dobór wszelkich środków językowych, oryginalność. Do tego dążę, nie wiem z jakim skutkiem, natomiast ja się bardzo skupiam na języku w poezji. Język jest dla mnie najważniejszy, ważniejszy nawet niż treść czasami.

W książce wyraźnie widać, że poruszasz temat schizofrenii. Dlaczego jest to dla ciebie ważne oprócz ogólnej wrażliwości na chorobę? Chodzi tu o różne wykluczenia w poszczególnych sytuacjach życiowych?

Tak, chodzi przede wszystkim o wykluczenia ze względu na język ponieważ uświadomiłem sobie czytając różne opracowania, czy też z własnych doświadczeń, że komunikaty tego rodzaju są często deprecjonowane, to znaczy spotykają się z niezrozumieniem, odrzuceniem, zażenowaniem czasami. Przechodzi się nad nimi do porządku dziennego, natomiast dla mnie jest to język, który warto zgłębiać, na który warto uczulać i sprawić, żeby społeczeństwo posługujące się językiem sklamrowanym normą językową, potrafiło też zdobyć się na rozumienie wypowiedzi odbiegających od tej normy. To jest jakby mój cel.

Znamy się nie od dziś, najpierw przez Internet, później wreszcie na żywo. Zawsze rzucał mi się w oczy twój perfekcjonizm przy poprawianiu choćby najdrobniejszego przecinka, półpauzy, też przy tworzeniu naszych collabo, a tu proszę! Czy jest to [w tej książce] łączenie fraz, które świat nie może zrozumieć, przyjąć, dążąc do swojej bezsensownej doskonałości, tak jak mówi się w kontekście najnowszej społeczności internetowej?

Mój perfekcjonizm rzeczywiście bywa kulą u nogi. Nawet w mojej pracy miałem ogromny przestój w pisaniu, ponieważ nie mogłem się zdobyć na pisanie byle czego, więc właściwie miałem blokadę przed napisaniem czegokolwiek. Nie potrafię napisać tekstu, gdzie na przykład pomijam błąd, chociaż wiem, że redaktor po mnie go poprawi. U mnie wszystko musi być w idealnym porządku, tzn. czytam wiersze wielokrotnie, jeśli napiszę wiersz to czytam go kilkanaście, kilkadziesiąt razy łącznie przez długi czas. Poprawiam, zmieniam, cyzeluję, zdaję się też na inne osoby, które mi pomagają. Jeśli chodzi o społeczność internetową, język tej społeczności... Ten język, w ogóle język, widać to najbardziej na przykładzie języka Internetu, to jest banał właściwie, ale ten język bardzo ewoluuje. Właściwie ma to też pewien potencjał rewolucyjny i w porównaniu z tym, co było jeszcze kilkanaście lat temu - język naprawdę szybko się zmienia. Sam za nim nie nadążam, przyznaję, ale zmiany językowe nigdy nie mają charakteru pozytywnego, czy negatywnego. Trzeba je brać po prostu jako takie i przynajmniej dla mnie, jako językoznawcy, one są interesujące, ale trudno mi je oceniać. Oczywiście, jako niejęzykoznawca mam problem z pewnymi zjawiskami i czegoś nie rozumiem, albo wydaje mi się coś zbyt

skomplikowane. Natomiast jako językoznawca po prostu to obserwuję i interesuje mnie to ze względów badawczych.

Czuję w tym tomie gniew, ale nie taki, że jesteś jednoznacznie zły na system, a politykę, że to jest złość na rzeczy, sytuacje, język. Polityczność jest gdzieś obok. Dobrze rozumiem?

Tak. To znaczy, wszelkie sprawy polityczne itd. piszę z perspektywy osoby, która doświadcza wszystkich tych presji. To widać w niektórych wierszach np. *pozytywna decyzja w sprawie przyznania renty* („co łączy mnie z zusem to bycie trupem zus / bycie ropą z ust") i wielu innych. Doświadcza tej presji, ale nie ma siły się im przeciwstawić, czy ich krytykować. Po prostu one nacierają ze wszystkich stron. Mój gniew jest wymierzony przede wszystkim w język, tzn. można go traktować, ten tom, jako rzygnięcie na normę językową, która jest dla mnie również elementem pewnej opresji systemowej. Rozumiem po prostu normę językową jako formę opresji i przeciwko niej występuję, ponieważ ona jest potrzebna, bo spaja społeczeństwo, natomiast zbytnie jej egzekwowanie powoduje wykluczenie osób niepotrafiących się do niej do końca dostosować. Ostatnio czytałem na pewnej grupie komentarz człowieka, który wypowiedział się w ten sposób, że dla niego, kiedy rozmówca popełnia błąd w wypowiedzi to dla niego jest to oznaka braku szacunku. Jest to dla mnie coś, co nie tylko wkurwia, ale przede wszystkim powoduje ogromne szkody w społeczeństwie.

Rozmawialiśmy o tym wcześniej, być może jest to kruche pytanie: wspomniałeś, że na spotkaniach, konkursach jesteś „krzykaczem", starasz się być mocno ekspresywny, jesteś bardzo przywiązany do swoich tekstów. Najpierw miałem styczność z pdf-em [cytryn], i myślałem, że to błąd zapisu cyfrowego. Dużo tekstów ma różnego rozmiaru frazy, zdania. Czy ten sposób ma ułatwić czytanie?

Obecnie większa część komunikacji odbywa się drogą pisemną, ale nie tylko teraz. Tak po prostu jest od dłuższego czasu. Dla mnie pismo również jest ważnym elementem, a także zapis niektórych fraz wielkimi literami, kapitalikami albo wersalikami. Jest istotny z tego względu, że dla mnie liczy się dosłownie wszystko, jeśli chodzi o wiersz. Zapis tych samych fraz, powiedzmy, małym drukiem równym reszcie formy wiersza byłby nieskuteczny, tzn. ja te frazy słyszę głośniej, mocniej, one są podkręcone albo są wzniosłe czasami i muszą tak też wybrzmieć w tekście pisanym. Pierwotnie właśnie te same

frazy, które w książce ostatecznie są graficznie wyróżnione, one początkowo w samych wierszach również były powiększone itd. Jeśli chodzi o moją „krzykaczowatość" na występach… Powiedziałeś, że staram się być ekspresywny. To nie jest tak, to jest też problematyczne. Ja tych wierszy nie potrafię inaczej SŁYSZEĆ, ja tych wierszy nie potrafię inaczej CZYTAĆ. Próbowałem to robić, bo niektóre osoby, jak ty, mówiły, że jestem zbyt ekspresywny i to czasami budzi inne wrażenia w nich niż we mnie i inne niż zamierzone, natomiast ja ich po prostu nie potrafię inaczej słyszeć. Pisałem je dość gniewnie i nie potrafię ich czytać inaczej niż wykrzyczeć. Niektóre owszem, niektóre są spokojniejsze, cichsze, bo też tak je słyszę i są innego rodzaju, ale wiele z nich po prostu wymaga silnej ekspresji. Też np. zaburzenia rytmu, czy moje zmiany głosu albo zmiany linii intonacyjnej – takie nagłe, szarpane. Też nie są czymś, co jest miłe dla uszu, natomiast bez tego tych wierszy by nie było po prostu.

Pochodzisz, tak jak ja zresztą, z mniejszej miejscowości. Od kilku lat przebywasz w dużym ośrodku, w Krakowie. Zapewne wielu powiedziałoby, że to idealne miejsce dla piszącego. Jak jest w twoim przypadku? Wyczuwam, że mentalnie jesteś równocześnie w dwóch różnych miejscach.

To jest prawda, tzn.: moje wykorzenienie trwa. Nie czuję się przynależny ani tu, ani tam. Mam siebie za pewnego koczownika. Rzeczywiście jest tak, że to w jakim miejscu jestem od długiego zresztą czasu, możliwe że od zawsze, powoduje, że nie odnajduję się ani w społeczności mojego pierwotnego środowiska, ani nie odnajduję się do końca w społeczności miejskiej – zwłaszcza tam gdzie bardzo przywiązuje się wagę do języka, który powinien być grzeczny, poprawny. Mówię tutaj głównie o Uniwersytecie – nie dotyczy tylko krakowskiego oczywiście. Dlatego nie czuję się przynależny nigdzie i rzeczywiście to poczucie wykorzenienia jest we mnie cały czas, ono mnie, przyznaję, przejmuje i jest ważnym elementem tego, co w życiu robię, co chcę robić i jak robię. Ono też wpływa na moje teorie, zamierzenia dotyczące literatury oraz nauki. Co z tego wyjdzie? Nie wiem, ale na pewno chcę to ujmować w jakiś sposób chociaż jakiś cały czas pozostaje to poczucie winy i wstyd, że mówię o tych rzeczach i jednocześnie czuję, że zdradzam moją pierwotną społeczność, ale myślę, że nie ma odwrotu. Nie mogę się w tym blokować.

Książce powagi dodaje religia, a raczej jej mechaniczne elementy językowe obecne w codziennie w naszym życiu typu: "O, Boże **", niezależnie od wiary. Jak jest**

w twoim przypadku? To krzyk, czy prośba o odzew? Wszechobecność, czy kolejne fascynacje językiem, spajanie nim?

Nie, nie ma tam żadnej prośby. To jest jeden wielki krzyk, gniew, rozpacz, która nie szuka ukojenia. Ona dąży do zupełnego rozstroju, jest totalną samozagładą. Jednocześnie ta samozagłada ma pociągnąć w dół wszystko przeciw czemu jest wymierzona. Więc nie, nie ma tu żadnej prośby. Motywy religijne są po prostu na tyle obecne w naszym życiu, w języku, że one się pojawiają nawet u osób niewierzących. Może one o tym nawet nie wiedzą. Ja sam zdałem sobie niedawno z tego sprawę, że posługuję się jeszcze ornamentyką religijną zupełnie bezwiednie. Takie wyrażenia pojawiają się w moim języku. One są oczywiście wyzute z pierwotnych znaczeń ciężaru kulturowego, natomiast są po prostu pustymi wyrażeniami, które gdzieś funkcjonują, gdzieś to zostało. Więc one na bazie skojarzeniowej się po prostu pojawiają.

Gdybyś śnił, gdybyś wyśnił ten tytuł *trzysta cytryn do trzeciej potęgi tygrysa*, który może oznaczać wszystko, co by to było po przebudzeniu?

Myślę, że to byłoby koło nieruchomych słońc.

Jeszcze raz gratuluję książki. Czego sobie życzysz w 2021 oprócz przyjazdu nad morze?

Spokoju [przyp. do trzeciej potęgi].

strona wolna

Piotr Burzyński

Absolwent Liceum Plastycznego w Jarosławiu i Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Rzeszowskiego na specjalizacji grafika/linoryt. Inspiracji szuka w czeskiej literaturze, w kresce Moebiusa, w czerwonych oczach węża Nidhogg'a, w nocach na ziemi Jarmuscha i w tej czarnej, milczącej otchłani za gwiazdami. Dawno temu w potężnej eksplozji maszyny do klejenia pierogów stracił dłonie i od tamtej pory rysuje wyłącznie językiem.

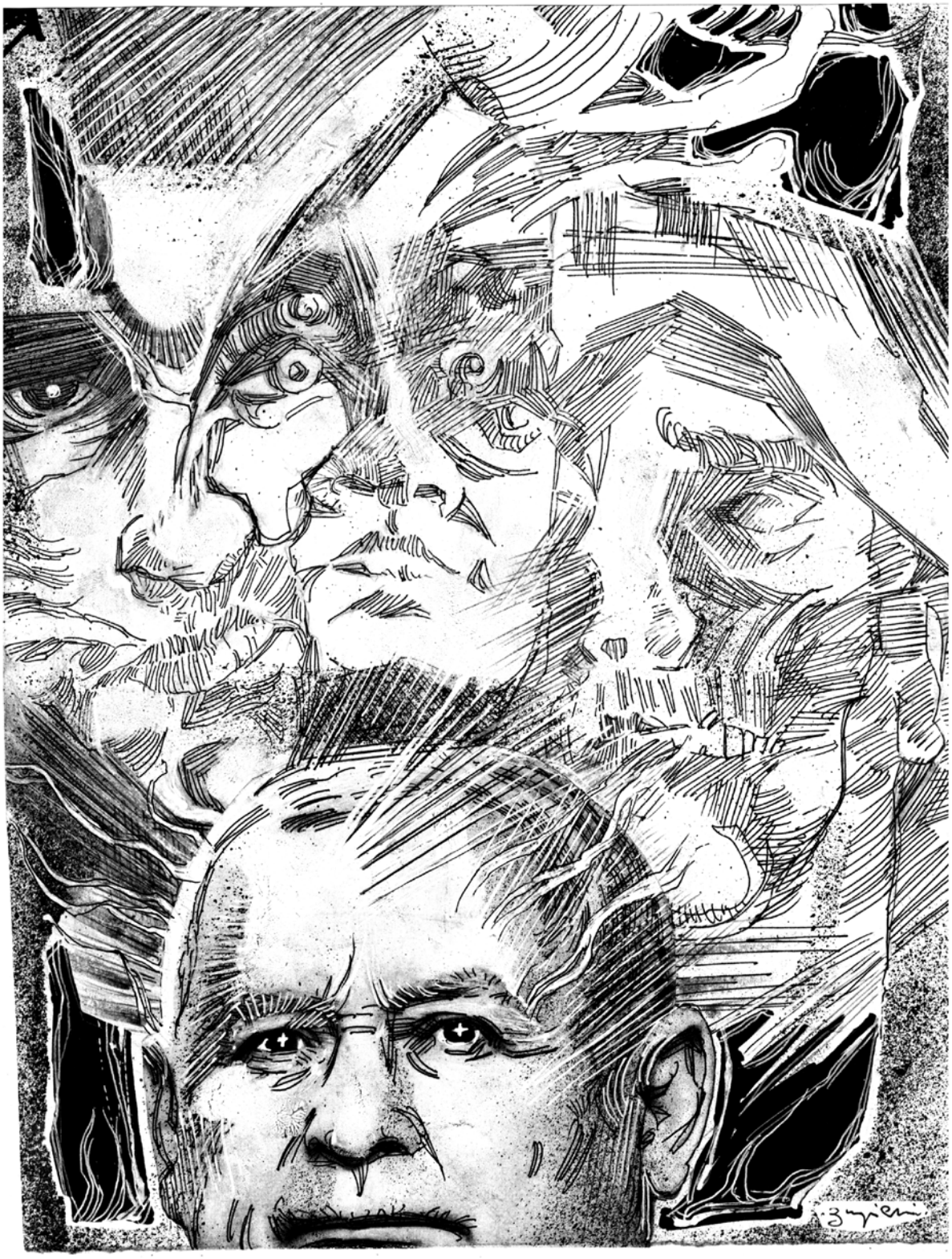

Igor Jarek

Urodzony w 1989 roku. Autor dwóch tomików poetyckich oraz zbioru opowiadań *Halny* (2020).

Razem są autorami trzech komiksów *Słowackiego* (2016), *Spodouści* (2018), *Czarna studnia* (2019). Wszystkie zostały wydane przez Kulturę Gniewu.

Judyta Sosna

Urodzona w 1988 roku. Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, kierunek grafika warsztatowa.

Chińska pralnia

GARRY
WYKORZYSTUJE DZISIAJ PIERWSZY ZE SWOICH TRZECH DNI WOLNEGO I ROBI PRANIE NA PEŁNY BĘBEN PRALKI.
NIE MUSI BYĆ OLŚNIEWAJĄCO CZYSTO. GARRY PO PROSTU LUBI TEN ZAPACH.
TEN MOMENT GDY

WSZYSTKIE DOBRE MIEJSCA NA ROZWIESZENIE UBRAŃ
SĄ JUŻ ZAJĘTE I TRZEBA DLA TYCH KILKU CIUSZKÓW
WYBRAĆ
MIEJSCA
ZASTĘPCZE

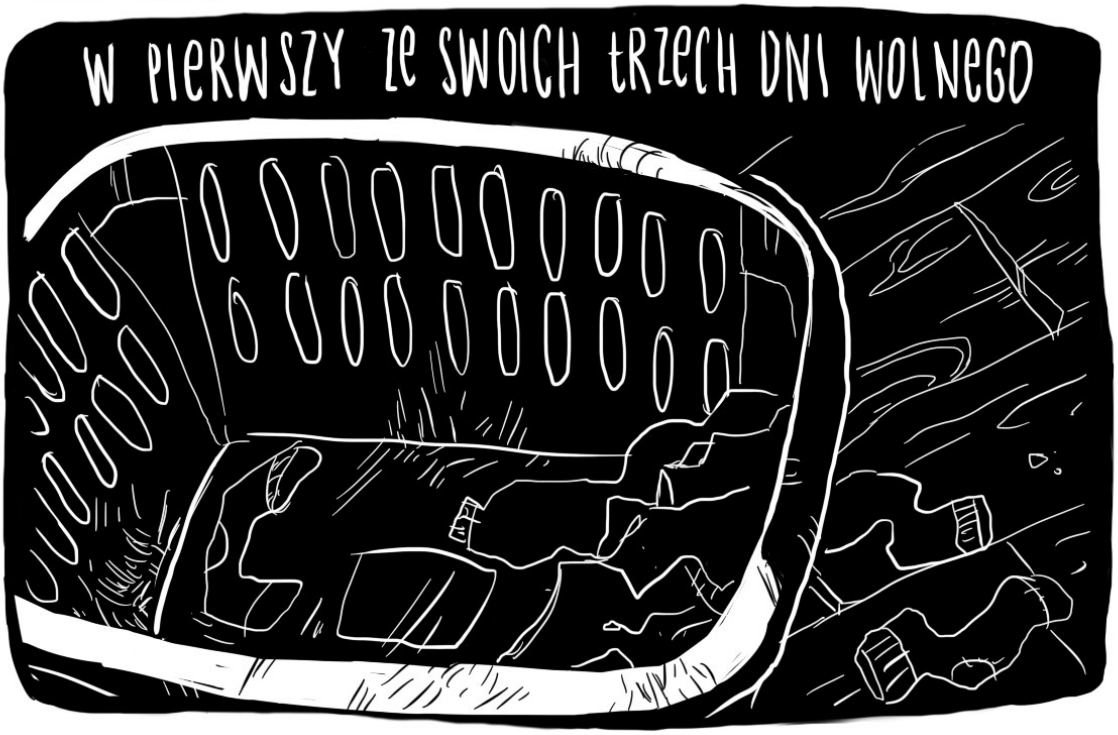
W PIERWSZY ZE SWOICH TRZECH DNI WOLNEGO

GARRY ZDĄŻYŁ UBRAĆ JEZUSA WISZĄCEGO NA KRZYŻU
W STARĄ I CIĄGLE BRUDNĄ KOSZULKĘ Z NAPISEM „MONSTER".
JEGO GACIE W PROSTOKĄCIE WPADAJĄCEGO PRZEZ OKNO ŚWIATŁA WYGRZEWAJĄ SIĘ NA ŚRODKU POKOJU.
MOŻNA PRÓBOWAĆ JE PRZESKOCZYĆ ALE BARDZIEJ OPŁACA SIĘ W NIE WEJŚĆ.

KTO CHODZIŁ KIEDYŚ PO JESIENNYCH PARKOWYCH LIŚCIACH NA BOSAKA,
GDY JESIEŃ TO TAK NAPRAWDĘ JESZCZE LATO, TEN WIE, JAKI RODZAJ PRZYJEMNOŚCI
MOGĄ SPRAWIĆ TE NIE DO KOŃCA CZYSTE GACIE W BRZYDKIM MUSZTARDOWYM KOLORZE.

GARRY JESZCZE NIE WIE CO BĘDZIE ROBIĆ JUTRO, CZY POJUTRZE ALE NAWET SIĘ NAD TYM NIE ZASTANAWIA.
KOMBINUJE GDZIE BY TU JESZCZE UPCHAĆ TYCH KILKA NIESPAROWANYCH SKARPETEK.
CHYBA WŁOŻY JE POMIĘDZY KSIĄŻKI ALE ZANIM TO ZRÓBI,

JEGO NIESAMOWITA DZIEWCZYNA WRACA Z UCZELNI STWIERDZAJĄC, ŻE JEZUS WYGLĄDA
ŚWIETNIE W T-SHIRCIE. W TEJ KOSZULCE Z NAPISEM „MONSTER" KTÓRA PRZECIEŻ
OD DAWNA ROBIŁA ZA SZMATĘ, WCIŚNIĘTĄ MIĘDZY ŚCIANĘ, A ZLEWOZMYWAK.

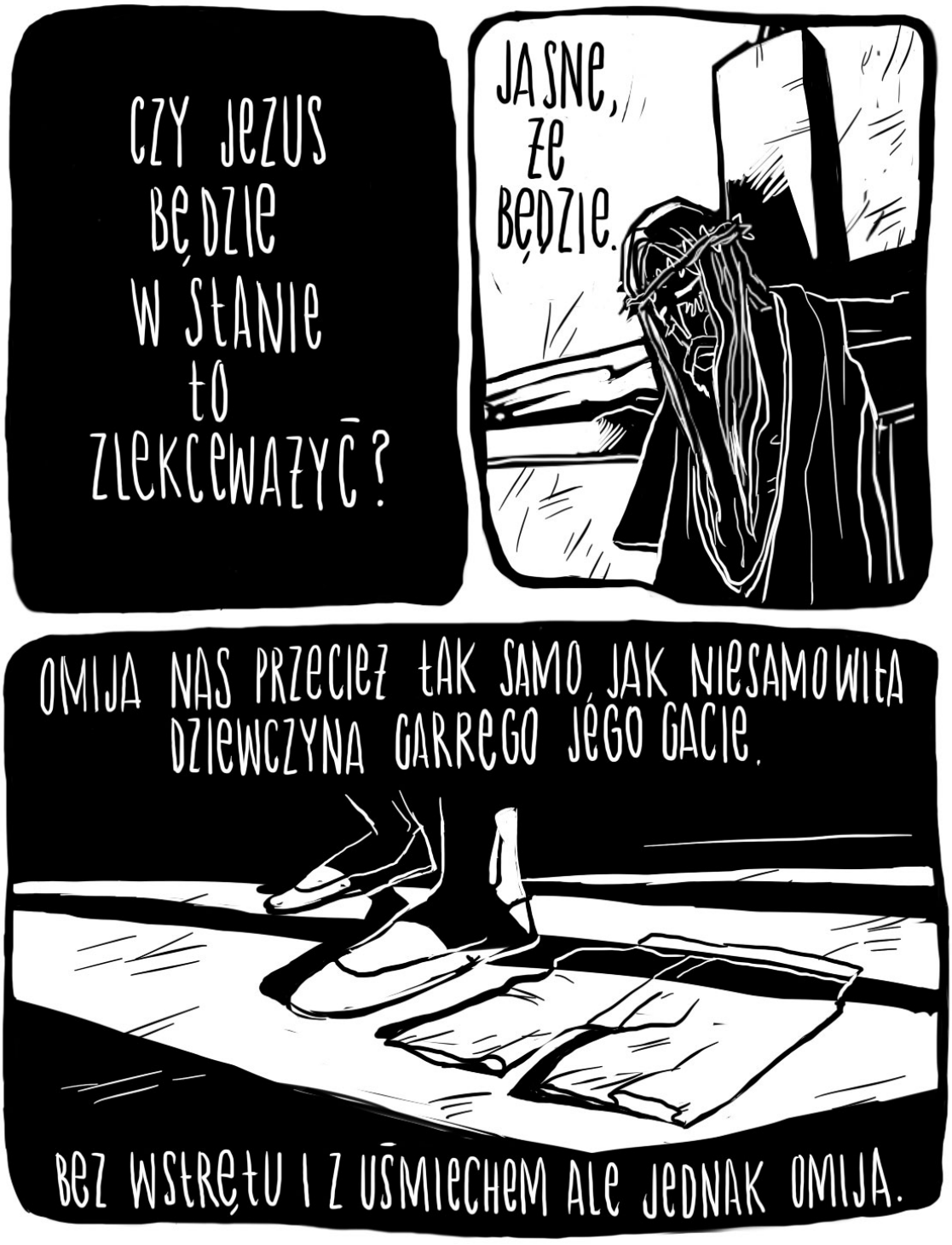
CZY JEZUS BĘDZIE W STANIE TO ZLEKCEWAŻYĆ?
JASNE, ŻE BĘDZIE.
OMIJA NAS PRZECIEŻ TAK SAMO JAK NIESAMOWITA DZIEWCZYNA GARREGO JEGO GACIE.
BEZ WSTRĘTU I Z UŚMIECHEM ALE JEDNAK OMIJA.

Walentynki

NIESAMOWITA DZIEWCZYNA GARREGO CODZIENNIE
POWTARZA JAKI JEST SILNY I TWARDY ALE ON
WCALE SIĘ TAK
NIE CZUJE

ZAUWAŻYŁ, ŻE LUDZIE CORAZ CZĘŚCIEJ W POŚPIECHU SZUKAJĄ BILETÓW GDY WCHODZI DO AUTOBUSU

ALBO,
ŻE TEN GNIEW,
KTÓRY W NIM NARASTAŁ,
KTÓRY SIĘ W NIM
PRZESUWAŁ
Z GÓRY NA DÓŁ,
PRZEZ CAŁĄ JEGO
GŁĘBOKOŚĆ
DAJĄC MU TE
NIESAMOWITE
POCZUCIE
PEWNOŚCI,

ŻE NAWET GDYBY TERAZ
COFNĄŁ SIĘ W CZASIE,
GDYBY MUSIAŁ ZNOWU
WĘDROWAĆ ZANURZONY
PO PAS W GĘSTEJ MGLE,
GDYBY ZNOWU MUSIAŁ
ŚCINAĆ POŁĘŻNE DRZEWA,
MIESZKAĆ W KUPIE
PARUJĄCEGO GNOJU,

I CO NOC Z PLAMKĄ ŚWIAŁŁA NA LICHYM PAŁYKU,
WYCIĄGAĆ Z CIEMNOŚCI
ZIMNE ODBLASKI WPATRZONYCH W NIEGO OCZU.

TO JESZCZE NIEDAWNO,
JESZCZE Z TYDZIEŃ
TEMU CZUŁ,
ŻE DAŁBY
RADĘ,

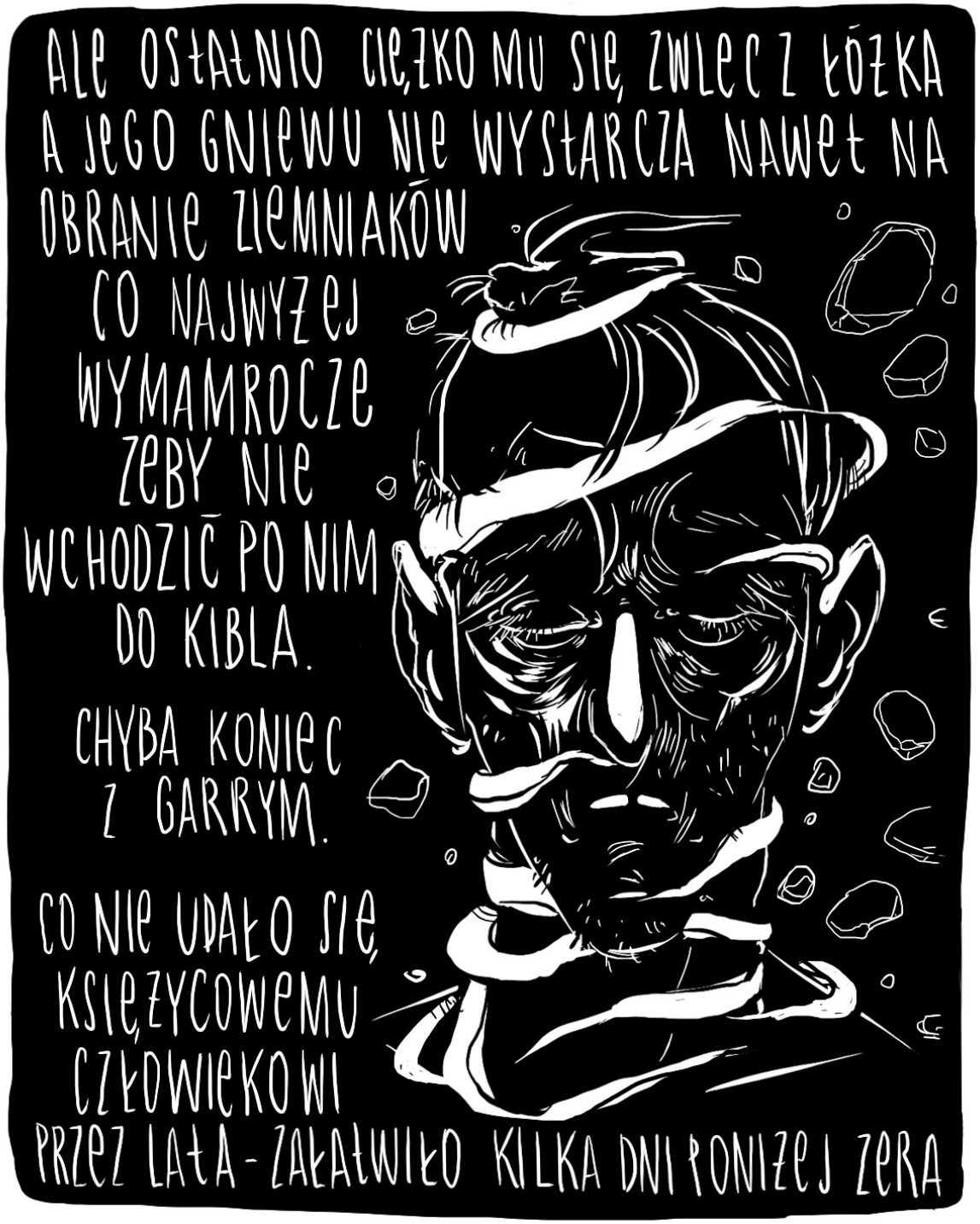
ALE OSTATNIO CIĘŻKO MU SIĘ ZWLEC Z ŁÓŻKA
A JEGO GNIEWU NIE WYSTARCZA NAWET NA
OBRANIE ZIEMNIAKÓW
CO NAJWYŻEJ
WYMAMROCZE
ŻEBY NIE
WCHODZIĆ PO NIM
DO KIBLA.
CHYBA KONIEC
Z GARRYM.
CO NIE UDAŁO SIĘ
KSIĘŻYCOWEMU
CZŁOWIEKOWI
PRZEZ LATA - ZAŁATWIŁO KILKA DNI PONIŻEJ ZERA

ALE JEGO NIESAMOWITA DZIEWCZYNA SIĘ NIE PODDAJE, CODZIENNIE POWTARZA: GARRY JESTEŚ SILNY, TWARDY
I JEŚLI TA OŁCHŁAŃ, O KTÓREJ TYLE GADASZ NAPRAWDĘ JEST TAK BLISKO
TO LEPIEJ SIĘ DO NIEJ PRZYZWYCZAJMY.

GDY CAŁA RESZTA BĘDZIE STĘKAŁA NA BRZEGU
MY ZROBIMY DUŻY ROZBIEG, CHWYCIMY SIĘ ZA RĘCE,
I WSKOCZYMY TAK GŁĘBOKO, ŻE NAWET NAJWIĘKSZA PLAMA ŚWIATŁA NA NAJDŁUŻSZYM PAŁYKU,

NIE ODWRÓCI NASZEGO WZROKU OD SIEBIE.

Karolina Kapusta

Urodzona w Gliwicach, obecnie mieszka i pracuje we Wrocławiu. Laureatka XV edycji Połowu.

MORSKIE
OPOWIEŚCI

WYŁĄCZ mary

SZYJ NIEPRZEMAKALNE

LUZUJ UTKANE

Dr Ugie POŻEGNANIE

jasno

-ciemno

POKOLENIA W pianę

dizajn

Wigilijny

Debiuty

na

Ulice

!

kiosk

BLISKO

WŁOŚCI

Buntowniczki

RÓŻOWE

PREZENTY

Twój

SEZON

na

SKUTECZNE

problemy z zasypianiem

Aleksandra Perzyńska

Poetka, pisarka, artystka wizualna z Gdańska. Tworzy w technice collage. Ogłosiła cztery tomy wierszy: *ANIMA, Ja, Bukowska , SAMSARA* oraz *SZÓSTE WYMIERANIE*. Ze swoją poezją i prozą obecna m. in. w CZYTANIU POMORZA czy eksperymentalnej publikacji artystycznej *Ranne Szychty*, w ramach 8. edycji festiwalu Grassomania – dedykowanego Günterowi Grassowi, budującego swój program wokół twórczości noblisty, będącej przedmiotem interpretacji i inspiracji dla współczesnych twórców. Drukowana, nagradzana, tłumaczona. Pracuje (jeszcze) w kulturze.

SŁOŃCE NA CZERWONYCH CEGŁACH
INTENSYWNIE

niedziela
na
Sandomierskiej

niedziela
nic się
Nie dzieje

czynna.com